AS



Nr. 51 18 XII 1938
CENA 40 GROSZY

LADY CHIC
Fot. C. Anders, Paryż

Nocna przygoda

★

ZYGMUNT JORDAN

SZKIC

Pan Witold Chlupść był w złym humorze. Wszystko się w nim buntowało. Od wczoraj siedzi oto w tej dziurze, w domu zostawił rozpoczęte żniwa, a tu jak na złość, trzeba dalej tkwić i czekać, aż te beznadziejne biurokratyczne dusze raczą załatwić sprawę jego — sprawę tak prostą, że on, ba! — ekonom jego zlikwidowałby całe zagadnienie w ciągu pół godziny!

Każde dziecko wie przecież, że w dzisiejszych czasach, przy obecnych cenach produktów rolnych, jego dwieściepięćdziesiąt morgów ornego nie mogły dać trzydziestu tysięcy dochodu... Skąd?! — Czyż on pieniądze sieje i workami zbiera?... Toż Panie Święty — zdzierżyć trudno, żeby despektu jakiegoś nie zrobić i nie zostawić całej sprawy jej własnemu losowi!

Pan Chlupść wyszedł z odrapanego budynku, w którym mieścił się urząd skarbowy i stanął bezradnie na ulicy.

Dokąd pójść?... Miasteczko było senne i ciche. Tylko koło starostwa i przy urzędzie skarbowym kręciło się trochę ludzi. Żydzi stali w drzwiach swych lichych sklepików, wyglądając napróżno klientów. Wieś pozostała dziś w domu, przy żniwach. Zrzadka tylko przemknął ulicą chłop śpieszący się, omijał karczmę i znikał w uliczce, wiodącej na krańce miasta. Pan Witold patrzył za nim z zazdrością. Radby rzucił wszystko i uciekł do domu, gdzie przy żniwie niewiadomo co się dzieje... Przeklęta sprawa! Wlecze się od wiosny i jeszcze końca nie widzisz!

Automatycznie skierował swe kroki ku oszklonej werandce „Klubu Społecznego". Spędzał tam od wczoraj cały, wolny od bieganiny po urzędach, czas. W klubie przynajmniej parę gazet znajdziesz i ilustrację jakąś. Choć stare już, z przed tygodnia i więcej, to jednak lepsze to, niż siedzieć w brudnym pokoju żydowskiego hoteliku, gdzie zatrzymał się wraz z furmanem i końmi.

Przy tem spodziewał się wciąż, że do klubu zajrzy naczelnik urzędu skarbowego; miał nadzieję, że w zmienionych warunkach, zdala od biurka i aktów, człowiek ten okaże może więcej ludzkiego zrozumienia dla krzywdy, jaka go spotyka...

Ale naczelnika w klubie nie było, natomiast od jednego ze stołów podniósł się barczysty jegomość i rozłożywszy ręce szeroko, szedł ku niemu, milcząc, przez całą salę, aż porwał go w ramiona i wśród głośnych okrzyków i mlaśnięć, bulgotań i westchnień, obłożył policzki zaskoczonego pana Witolda serją pocałunków.

— Kogoż ja widzę! Najmniej się ciebie spodziewałem, Witku kochany! A toż cała niespodzianka! Tyla lat — a poznałem odrazu!...

Teraz dopiero i pan Witold poznał, kto go tak czule wita. Pana Józefa Niepokulicza stracił z oczu lat temu dwadzieścia pięć, wraz z ukończeniem akademji w Taborze. Słyszał, że Niepokulicz ożenił się niedawno w okolicy, sprzedał swój majątek pod Święcianami i przeniósł się w te strony, do majątku żony. Jednak minęły chyba ze dwa lata, a dotąd nie było jakoś okazji do spotkania. Pan Chlupść rzadko zresztą w te strony zaglądał, mając do miasteczka sześć mil.

Kiedy zasadnicze pytania i odpowiedzi zostały wyczerpane, pan Józef ujął w pół pana Witolda i poprowadził do swego stolika.

— Siadaj kochanieńki, a toż uczcić musimy takie spotkanie. Mają tu oni dobrą nalewkę na „smorodinie" [1]), w zeszłym roku robioną i zakąsić czem — znajdzie się... Ot — radość dla mnie z takiego spotkania — mówił, patrząc z ukontentowaniem w przyjaciela. — Pamiętasz nasze pożegnanie w Taborze i tę małą, jakże to jej było... Stefi, tak — Stefi... Ach płakałaż ona za tobą, płakała!... Ale ja tu gadu, gady, a nalewka — mówią — sama na stole nie stanie... Panno Zosiu!

W drzwiach stanęła zgrabna blondynka o śmiejących oczach, patrząc porozumiewawczo na pana Józefa.

— Naszą nalewkę proszę! I zakąski jakie... — dysponował Niepokulicz, trącając pod stołem pana Witolda. — Ot, sucha w pęcinie nóżka, co? — dodał półgłosem, nachylając się do sąsiada. Panna Zosia spłonęła i prysnęła w drzwi.

Za chwilę stolik zastawiony był suto półmiskami, salaterkami i talerzykami, z których apetycznie wyglądały ku siedzącym różnego rodzaju rybki, grzybki, ogórki i plastry ciemnej, litewskiej szynki. Panna Zosia uwijała się koło stolika, przyjmując zamówienia i komplementy pana Józefa, który widocznie częstym tu był gościem, bo znał na pamięć zapasy śpiżarni i bufetu, jak i szczegóły, dotyczące właściwości i upodobań ponętnej blondynki.

— Dzisiaj odjeżdżasz? — zapytał w pewnej chwili pan Józef, napełniając kieliszki po raz chyba dziesiąty.

Pan Chlupść spochmurniał. W myśli stanęły mu rozpoczęte żniwa i jutrzejsza wizyta w urzędzie skarbowym.

— Przeklęte podatki! — powiedział, stawiając pusty kieliszek. — Dla dogodzenia fantazji gryzipiórków trzeba siedzieć w tej dziurze, choć żyto we wtorek zacząłem. Wyzłościsz się, zdenerwujesz, a potem siedź całą noc w podłym hotelu i nie zmruż oka, bo gady jakieś oblezą cię i tną... Do jutra zostać muszę. Bronić się trzeba, bo z torbami — wyszedłbym...

— A toż bracie mów tak odrazu! Mowy niema, żebyś spał w hotelu... Od czegóż masz mój dom? Parę kilometrów, pół godziny drogi — i masz łóżko wygodne; prześpisz się, a jutro odstawię zpowrotem, o której tylko chcesz. Nie przepuściłbym sobie, żebyś u mnie nie zanocował! I pogadać jeszcze można będzie po tylu latach...

Pan Witold niby ociągał się, nie chcąc przyjacielowi kłopotu sprawiać, ale myśl zanocowania w przyzwoitem łóżku poprawiła mu humor odrazu. To też nie robił długo ceremonji i stanęło na tem, że wieczorkiem pojadą razem do pana Józefa.

Tymczasem panna Zosia przynosiła coraz to nowe smakołyki, a trzecia zkolei butelka „smorodiny" opróżniała się zwolna, ale stale, ukazując wypukłe dno. Towarzystwo przy stole zwiększyło się o kilka osób, przybyłych w międzyczasie do klubu. Każdy chętnie przysiadał się do stolika, którego gospodarzem był pan Niepokulicz, znany z towarzyskości i gościnności. Sypały się wesołe anegdotki, wspomnienia ze studjów, z wojny...; czas leciał niepostrzeżenie, okna złociły się przez jakiś czas łuną zachodu, potem ciemniały stopniowo, aż i zapalono lampy, a gwar przy stole nie ustawał i kolejki szły...

Pan Józef zdradzał od jakiegoś czasu niepokój. Kilka razy, spojrzał z niechęcią na zegar, wiszący nad drzwiami, ale zaraz odwracał się do towarzystwa i siał dalej wokoło perły swego humoru, dolewał, przysuwał, namawiał.

Pan Witold rozochocił się. Nastrój jego poprawił się z chwilą, kiedy do stolika przysiadł się nareszcie długo oczekiwany naczelnik urzędu skarbowego. Kilka zdań, zamienionych z nim w atmosferze tak różnej od poprzedniej, postawiło całą jego sprawę na zgoła innej płaszczyźnie. Okazało się, że naczelnik jest miłym człowiekiem i można się z nim dogadać. Jutrzejsza wizyta w urzędzie skarbowym zapowiadała się lepiej, niż dotychczasowe. Więc i nalewka smakowała bardziej i anegdotki pana Józefa wydawały się coraz śmieszniejsze.

Wreszcie koło jedenastej zaczęto wstawać od stołu. Z ulicy dawno dochodziło niecierpliwe tupanie koni; furman pana Józefa raz po raz odjeżdżał o kilkaset kroków, by znowu wrócić i turkotem zajeżdżającej bryczki dać znać, że jest i czeka...

Miesięczna noc siała srebrne blaski na łany zbóż, na rzędy żytnich kóp i brzozowe gaje, kiedy nasi przyjaciele wyjechali z miasteczka na piaszczysty trakt, wiodący ku zasłużonemu noclegowi. Wystane konie rwały szparkim kłusem, bryczka mknęła cicho po miękkiej drodze, tylko sypki piach syczał między szprychami kół. Powietrze przesycone było zapachem dojrzałego zboża, macierzanek i wrzosów.

Dokończenie na str. 12-tej.

[1]) Czarne porzeczki.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 51 **Niedziela, 18 grudnia 1938** **Rok IV**



Fot. Dr. A. M. Wieczorek — Zakopane

W Tatrach spadł już pierwszy śnieg i pokrył góry białym całunem... Południową porą słońce stapia puch śnieżny na obumarłych gałęziach drzew, które wówczas skrzą się niby usiane gwiazdami — klejnotami królowej Zimy...

Z rozległego Rådhuspladsen (plac ratuszowy) wchodzę w wąską ulicę, która pozornie nie obiecuje wielu ciekawszych rzeczy. Stare domy naprzemian z nowemi wypełniają całą przestrzeń, pozostawiając wąskie chodniki. Po gładkiej jezdni suną jeden za drugim stłoczone auta; z trudem przeciska się wielki autobus przez ten ruchliwy korowód, a rowerzyści, nie mając, wyjątkowo tutaj, wydzielonej dla siebie



Fragment pomnika króla Krystjana IX, w Kopenhadze.

KOPENHAGA



Giełda w stylu renesansu holenderskiego w Kopenhadze.

jezdni, gubią się rozproszeni. Dla pieszych pozostaje niewiele miejsca, lecz mimo to widzę tu dużo eleganckiej publiczności i ładnych długonogich kobiet. Ta ulica musi coś ukrywać, posiadać jakiś magnes.

Zaciekawiona idę dalej — ten i ów magazyn przyciąga mój wzrok; wystawy prezentują się w całej okazałości. Zapuszczam się więc głębiej i rozumiem, że ta, zdawałoby się niepozorna ulica, to sieć, chwytająca w swe sidła każdego. Tutaj bowiem ulokowały się najwspanialsze sklepy Kopenhagi.

A gdy tak kolejno zaczęłam oglądać wystawy — przepadło — dostałam się w czarodziejski krąg, z którego trudno wyrwać się kobiecie. Niebezpieczna to ulica! A już największa groza zawisa nad portfelami męskiemi, bo wszak samo tylko patrzenie na tyle pięknych rzeczy nie zadowoli kobiety.

Sklepy kopenhaskie posiadają olbrzymi wybór pięknych i wytwornych drobiazgów. Suknie, kostjumy, kapelusze, rękawiczki, torebki — wszystko artystycznie podane. Uderza mnie wielka ilość przestrzeni, jaką rozporządzają poszczególne wystawy i jak umiejętnie, z dobrym smakiem i swobodą wyzyskano to miejsce.

Tak pięknie wyglądające wystawy zachęcają do zapoznania się z wnętrzem. Ulegam więc pokusie i wchodzę do wielkiego kilkopiętrowego magazynu. Elegancki portjer uchyla grzecznie czapki. Wewnątrz — jasno, przestrzennie, gustownie. — Kunsztowne girlandy ładnie odrobionych kwiatów dekorują balustrady. Wszędzie panuje spokój i ład.

Obserwuję wszystko, zatrzymując się przy ciekawszych gablotkach. Nie jest tu jednak w zwyczaju rozrzucanie towaru po ladach, jak robią to wielkie magazyny paryskie. I nie można tak „po parysku" swobodnie przebierać i oglądać: zaraz zbliża się uprzejma blondynka, pytając, czego sobie życzę. A równocześnie zauważyłam, że zjawienie się klientki, mimo całej uprzejmości,



Gwardziści królewscy trzymają straż przed pałacem Amalienborg.

sprawia mi pewną różnicę, a w pośpiechu, mowy niema. Spokojny temperament Duńczyków tak samo objawia się w sposobie zachęcenia do kupna: pokazują żądane przedmioty i pozostawiają dowolny wybór.

Rozglądając się tu i tam, szybko przechodzę wszystkie piętra magazynu. Wypatruję ostatnie „cri de mode" w działach damskiej konfekcji. Manekiny, w specjalnie sprytnie założonych chusteczkach na głowie — defilują przed kupującymi. Celofanowa pelerynka od deszczu, która składa się w maleńką kopertę, musi być bardzo praktyczna i „portable".

Dużo gorzej przedstawia się sprawa obuwia i kapeluszy (a przecież są to dwa niesłychanie ważne czynniki w sylwetce elegantki!) Otóż modele paryskie zaspokoją oczywiście najbardziej wyszukane gusta, ale też i kosztują ładną sumkę: inne zaś „made in Denmark", są niemożliwe. Obuwie zaś sprowadza się przeważnie z Anglji i Ameryki, dopasowując oczywiście, do, niestety wielkich i płaskich stóp, skądinąd dorodnych Dunek.

Dalszy dział, to przybory do podróży: torby, torebki, nesesery, walizy, pudła, kufry okrę-



Nowoczesna budowla w parcie w Ystad (Szwecja).

Katedra w Roskilde z początku XIII w. mieści grobowce królów duńskich.



towe — wszystko wyrabiane tutaj wytwornie i pięknie.

Dział meblarski zachwycił mnie najbardziej. Lubują się Duńczycy w wygodnych meblach. — Nieprzebrana ilość foteli: jeden bardziej pochylony i niski, drugi wyższy a zato z pomysłowo umieszczonemi poręczami i oparciami na głowę: kanapy, kanapki, pękate, szerokie, obite pięknemi materjałami, obite skórą — świadczą swemi harmonijnemi linjami, że je projektowali artyści. Specjalnie ładne są także maleńkie stoliki, których blaty zrobione są z artystycznie wykonanych kafelków. Dalej meble ogrodowe: taburety, bujające kanapki, chaise-longue i t. p. Niemożliwością jest wyliczyć wszystkiego, tyle tu gustownych rzeczy, które jedynie mają za cel umilać życie. Emanują one obietnice takiej wygody, że wyobrażam sobie, jak wielką muszą dawać w rzeczywistości. Nic więc dziwnego, że na samą myśl o tem, poczułam zmęczenie. A tu właśnie otwierają się drzwi restauracji, umieszczonej na najwyższem piętrze magazynu.

Wchodzę. Wszystkie prawie stoliki zajęte. Muzyka, dyskretnie ukryta we wnęce, gra „Nad pięknym modrym Dunajem". — Melodja bardzo na czasie... Godzina czwarta, więc zebrane tu eleganckie panie i młodzi ludzie popijają oczywiście „thé complet". — Jest to, u nas nie wprowadzony jeszcze, sposób podawania herbaty po angielsku (razem z esencją), do tego toast, masło, marmolada (koniecznie pomarańczowa), biszkopty. Smaczny, ciepły toast chrupie. Gorzka marmolada przypomina Anglję. Dookoła jasnowłose Dunki zaciągają się na zabój mocnym i aromatycznym egipskim „Simon Arct". Starsze matrony z lubością palą długie hakańskie cygaretki. Gwar, śmiechy. — Pośród tego wszystkiego ja, Polka, obserwuję: o uszy obija mi się ich dość skomplikowany w brzmieniu język: co chwila słyszę: „tak" (wymawiane nieco inaczej, niż u nas, „t" raczej jak „cs") — znaczy — dziękuję. Duńczycy, z natury bardzo uprzejmi, dziękują sobie nieomal bez przerwy. — Słysząc rozmowę Polaków, powtarzających: „tak, tak, tak"... muszą uważać, że jesteśmy bardzo grzeczni.

Bezszelestna winda zwozi mnie na sam parter, skąd wydostaję się na ulicę, by dalej wypatrywać różne ciekawostki.

Wspaniale przedstawia się dwupiętrowa, od góry do dołu oszklona, wystawa drugiego wielkiego domu towarowego. Obecnie, jako, że nastał okres week-end'ów, ułożono tu, w wielce pomysłowy sposób, wszystko, co w tym celu poleca magazyn. Trzeci wielki sklep, również bogaty, wystawia przemiłe mebelki ogrodowe, suknie odpowiednie do pracy w ogródkach i wszelkie przyrządy ogrodnicze. Inna firma znów pokazuje przeróżne kapelusze z fantazją włożone na głowy manekinów, które wychylają się z wielkich pudeł.

Lecz najdłużej zatrzymuje mnie wytworna porcelana królewskiej fabryki (Den Kongelige Porcelainsfabrik). Zachwyca subtelność rysunku i kształtu, pastelowy koloryt i poezja tematów. Najbardziej znane w niebieskim odcieniu kwiaty i pejzaże kopenhaskiej porcelany nie ustępują nowoczesnym o śmiałych kształtach i zielono-brunatnym kolorze wyrobom ceramicznym tejże fabryki. Wszystkie te cuda, w drobnej tylko części tu wymienione, mieści w sobie czarodziejska ulica. Chcę jej tą drogą zwrócić honor i dziwię się, że mogłam przez chwilę myśleć źle o niej. Ale wiadomo — pozory mylą.

Wanda Żelisławska.



Pałac Amalienborg (rezydencja królewska) w Kopenhadze i pomnik Fryderyka V.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: W. ŻELISŁAWSKA.

UBEZPIECZENI ŻYJĄ DŁUŻEJ

Kraków, 3 grudnia.

Kto chciałby *dożyć 100 lat?* Prawdopodobnie wszyscy. Ale niestety, *z pośród 100.000* chętnych kandydatów na stuletnich staruszków osiągnie ten jubileuszowy wiek — *zaledwie dwóch.*

Istnieje specjalna gałąź wiedzy, zajmująca się obliczaniem szans dożycia i śmierci oraz ocenianiem, jakie ryzyko wiąże się z zawarciem pewnych transakcyj finansowych z człowiekiem np. 50-letnim. Jest to *matematyka ubezpieczeniowa.* Ponieważ ludzie lubią ze wszystkiego wyciągać korzyść praktyczną, więc też wykorzystali i rozważania nad prawdopodobieństwem śmierci, opierając na nich tak ważny dział pracy społecznej i gospodarczej, jak *ubezpieczenia na życie.*

Niejednokrotnie laik zastanawia się: *jak może się opłacić* towarzystwu ubezpieczeniowemu wypłacanie wysokich premij? Przecież często zdarza się, że ktoś wpłacił zaledwie 100 zł. składki ubezpieczeniowej, a tymczasem rodzina otrzymuje 10.000 zł.! *Owe „często" jest jednak ściśle przewidziane;* od dokładności obliczeń zależy tu byt towarzystwa ubezpieczeń i interes ubezpieczonych.

Dobrze, ale *skąd mogą wiedzieć* ci specjaliści, ilu ludzi umrze w danym roku, skąd wiedzą, jak rozłożyć ryzyko na wszystkich ubezpieczonych?

Jeśli tego chcemy się dowiedzieć, musimy zajrzeć do tych gabinetów, gdzie, obstawieni czarnemi pudłami arytmometrów — pracują nad temi zagadnieniami matematycy.

A więc — przenieśmy się *do gmachu ubezpieczeń na życie P. K. O.,* gdzie rozporządzają najciekawszym materjałem, z tej prostej przyczyny, że sama PKO posiada tylu klientów w dziale ubezpieczeń, co razem wzięte dwa inne największe w Polsce towarzystwa ubezpieczeniowe.

U podstawy tabeli składek ubezpieczeniowych PKO tkwi — podobnie jak we wszystkich instytucjach ubezpieczeniowych — *tablica prawdopodobieństwa życia.*

Wprawdzie celem ubezpieczenia na życie jest gromadzenie pewnego *kapitału na starsze lata,* kiedy maleje nasza zdolność zarobkowa, ale PKO musi przewidywać, że w pewnych wypadkach *ubezpieczony może starości nie doczekać* i wówczas *kasa ubezpieczeniowa wypłaci rodzinie,* czy też innym osobom, wskazanym przez ubezpieczonego pełną sumę ubezpieczenia, *nawet choćby wpłynęła tylko drobna część składek.*

Wszyscy spodziewamy się długiego życia, ale jak to mówią: człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi". Niedarmo też wymyślono przysłowiową „cegłę", która nagle na ulicy spada komuś na głowę. Otóż ubezpieczenie jest *rozłożeniem ryzyka na większą ilość osób.* Aby jednak określić ryzyko i odpowiednio skalkulować składkę, musimy wiedzieć, kiedy śmierć najbardziej nam grozi.

Interesujące zestawienia w tej dziedzinie zrobili Niemcy. Wynika z tych obliczeń np., że *kobiety są na ogół bardziej długowieczne od mężczyzn.* Dalej, że największe niebezpieczeństwo grozi dzieciom, bo ze stu tysięcy noworodków męskich dochodzi do lat 5-ciu tylko 60 tysięcy. Dziecko, które przeżyje 5 lat, uchroniło się od najgorszego — od tego momentu śmiertelność maleje; najmniejsza jest między 10-tym a 20-tym rokiem życia. Po 20-tu latach trochę wzrasta, by znów dokonać gwałtownego skoku między 45-tym a 55-tym rokiem.

Interesujące jest, jakiego rodzaju *śmierć grozi nam w różnym wieku,* czyli innemi słowy, *na co się najwięcej umiera.*

PKO przeprowadziła w tej sprawie pewne interesujące obserwacje. Okazało się, że *młode pokolenie najgęściej trzebi gruźlica* — w miarę przyrostu wieku, maleje liczba wypadków śmierci na gruźlicę, wzrasta natomiast jako przyczyna zgonu *choroba serca i przemiany materji.*

Jakaż więc z chorób jest największym wrogiem człowieka? Oczywiście — różna w różnym wieku. Zdaje się jednak, że w nerwowej atmosferze współczesnej przy życiu pełnem gorączkowego pośpiechu, najczęściej wywołują człowieka z szeregu żyjących choroby serca, stanowiące czwartą część przyczyn zgonu wśród ludzi ubezpieczonych na życie w PKO. Drugie pokaźne miejsce — prawie 20% — zajmuje gruźlica, potem idą nowotwory i nieszczęśliwe wypadki.

Śmierć niespodziewana, tragiczna jest najdotkliwszym ciosem dla bliskich zmarłego, ciosem najcięższym moralnie i materjalnie. *Odchodzi z życia człowiek pełen sił,* energji, zdrowia — katastrofa zabiera go w chwili, gdy był związany z dziesiątkiem spraw, z dziesiątkiem interesów. Opuszczony warsztat pracy narażony jest wówczas na zniszczenie, *rodina znajduje się nagle bez środków do życia,* nieprzygotowana materjalnie do niespodziewanej zmiany sytuacji. Dlatego też PKO, oceniając trudność sytuacji, wypłaca w razie śmierci ubezpieczonego wskutek nieszczęśliwego wypadku podwójną premję ubezpieczeniową.

Oto *przykład z życia:* w dniu 14 lipca zmarł tragicznie jeden z ubezpieczonych. Ubezpieczył się zaledwie na dwa tygodnie przed śmiercią na 10.000 zł. Gdyby tego nie uczynił, żona po śmierci męża zostałaby bez środków do życia. Dzięki ubezpieczeniu otrzymała podwójną sumę ubezpieczenia, tj. zł. 20 tysięcy, choć zmarły mąż zdążył opłacić tylko kilka złotych za jeden miesiąc.

Najczęstszą przyczyną śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku są *zabójstwa,* następnie *wypadki przy pracy, samochodowe i kolejowe* oraz wypadki *wskutek nieumiejętnego obchodzenia się z bronią.* Są prace, jak np. kolejarza, czy lotnika, które bardziej narażają człowieka, niż inne spokojne zawody. Istnieją również zawody, szczególnie zagrażające zdrowiu. Według obliczeń angielskich okazuje się, że przeciętnie najdłużej żyje duchowny i rolnik, długowieczni są również artyści, lekarze, pisarze i adwokaci, najgorzej zaś przedstawia się sprawa dla szoferów autobusów i pracowników nocnych lokali.

Jak oryginalne czynniki mogą nieraz wpływać na ubezpieczenie świadczy znany wśród specjalistów zagadnień ubezpieczeniowych *przykład Szwajcarji.*

Wkrótce po wielkiej wojnie spadła na Europę *klęska grypy.* Zanim jednak rozprzestrzeniła się po innych krajach europejskich, zaatakowała najpierw Szwajcarję. Nie umiano jeszcze walczyć z nową chorobą, to też niemal każda rodzina kogoś opłakiwała. *Niemal w każdej rodzinie, jako pomoc w kłopotach materjalnych, zjawiała się wówczas premja ubezpieczeniowa.* Możnaby przypuszczać, że wypłata tylu naraz nieprzewidzianych sum naraziła Towarzystwa ubezpieczeniowe na kłopoty. Stało się jednak inaczej i od tego momentu właśnie datuje się w Szwajcarji rozkwit ubezpieczeń. Przekonano się bowiem, że można ubezpieczeniom ufać i zrozumiano, doświadczywszy nieszczęścia na własnej skórze, jak wielką pomocą jest wypłata sumy ubezpieczenia.

W pewnym sensie *podobne zjawisko mamy i w Polsce.* P. K. O. coraz bardziej przekonywa namyślających się, że ubezpieczenie na życie jest obowiązkiem każdego człowieka, który potrafi rozsądnie myśleć o własnej przyszłości i który kocha swych bliskich. Kapitał ubezpieczeniowy zapewnia mu spokojną starość, w razie zaś nieprzewidzianej śmierci zabezpiecza byt rodzinie.

P. K. O. może poszczycić się *triumfem swego hasła: pewność i zaufanie,* ponieważ właśnie w okresie, gdy nastąpił spadek ogólnej ilości ubezpieczeń, *ubezpieczenia P. K. O. stale rosły* i dziś stanowią ponad czwartą część wszystkich ubezpieczeń na życie w Polsce.

Czem to tłumaczyć? — Najlepszą odpowiedź dałyby listy, jakie otrzymuje Dział Ubezpieczeń P. K. O. — listy, pisane ze łzami wdzięczności, przez dotknięte nieszczęściem rodziny, listy, pisane z radością przez tych, który, dożywszy określonego wieku, podejmują swój kapitał, dający im na starość zasłużony dobrobyt. Zresztą spotyka ich miła niespodzianka.

Oprócz przyrzeczonej sumy ubezpieczeniowej otrzymują jeszcze swój pokaźny *procent udziału w zyskach Działu Ubezpieczeń.* Napozór wydaje się to dziwne, ale trzeba zrozumieć i ocenić, iż P. K. O. nie jest przedsiębiorstwem, szukającem wyłącznie zarobku; *P. K. O. jest instytucją społeczną i dzieli zysk z ubezpieczonymi,* którzy swem zaufaniem i swą regularną składką pozwolili P. K. O. wprowadzić pożyteczną dla kraju działalność gospodarczą. P. K. O. to nie jakiś bezduszny urząd, ale ludzie, którzy zdają sobie sprawę ze swego obowiązku, którzy wiedzą, że każda wypłacona premja ubezpieczeniowa albo ratuje całość rodziny, albo podtrzymuje warsztat pracy, umożliwia wykształcenie dzieci, które straciły ojca, albo wreszcie sprawi, że kto ciężko pracował całe życie nie będzie na starość ciężarem społeczeństwa.

Tak więc w ostatecznym rezultacie okazuje się, iż *„śmierć oprawiona w ramki",* jak żartobliwie nazywają tablice matematyczne, na których opierają się ubezpieczeniowe obliczenia, nie jest taka straszna. I rzecz nie do wiary, a jednak prawdziwa — ubezpieczeni żyją dłużej! Z pewnością dlatego, że są to ludzie ostrożni, rozsądni, przezorni — o czem świadczy już sam fakt ubezpieczenia się. — Niewątpliwie w ich długowieczności ma swój udział również i możliwość przetrzymania wielu chwilowych załamań, przezwyciężeń, wielu kryzysów materjalnych, dzięki rzetelnemu zabezpieczeniu kapitałów odkładanych w P. K. O.

KĄCIK

FILATELISTYCZNY

Węgry upamiętniły rozszerzenie swych granic emisją dwóch znaczków (przedrukowych), egzemplarze bowiem za 20 i 70 filler ze serji św. Stefana zaopatrzono napisem „hazaterés“, co oznacza „powrót do domu“. Zareprodukujemy je oczywiście w następnym numerze.

Nazwa Grenlandji po raz pierwszy ukazała się w filatelistyce, bo wprawdzie znaliśmy już przedtem znaczki dla tego najdalej na północ położonego kraju, ale były to tylko znaczki paczkowe, używane także w Danji, bądź też urzędowe znaczki z napisem „Thule“. Obecnie Eskimosi cieszyć się będą (?) ogromnie z całej serji, obejmującej wartości za 1, 5, 7, 10, 15 öre z królem Krystjanem i za 30 ö. oraz 1 koronę, z niedźwiedziem polarnym.

Doroczna serja „Pro Juventute“ jest bardzo podobna do poprzednich i widzimy na niej stroje regjonalnę kantonów St. Gallen, Uri, oraz Aarau, a na wartości za 5+5 c. pisarza Gessnera. Formaty i barwy te same, co zawsze.

Serje dobroczynne Holandji, Luksemburgu i Belgji, różnić się będą natomiast od dawnych i cieszymy się na nie zgóry, chociaż chętnie zredukowalibyśmy ilość sztuk każdej ze seryj do trzech.

Już dziesięć lat istnieje komunikacja lotnicza pomiędzy Holandją, a jej olbrzymiemi posiadłościami na archipelagu Malajskim. Śliczne są znaczki, wydane z okazji tego jubileuszu, ale będą zapewne dosyć drogie, bo nie tylko dopłacać trzeba po 5 c. na rzecz



Najnowsze znaczki w górnym rzędzie od lewej: czechosłowacki, grenlandzki oraz szwajcarski, w środkowym rzędzie dalsze znaczki Szwajcarji, wydane na cele dobroczynne; w dolnym rzędzie dwa jubileuszowe znaczki Indyj Holenderskich.

K. N. I. V. L. (odpowiednik „P. L. L. Lot“), ale i czas obiegu był nadzwyczaj krótki.

Cała serja nowych polskich znaczków dopłaty (kolor zielony) ukaże się już w najbliższym czasie w obiegu. W. H

gonie pierwszej klasy. Był bardzo zadowolony, że znalazł wygodny przedział, że zdążył nabyć najświeższe dzienniki, że jego podróżny garnitur leżał, jak ulany, że miał z sobą najlepsze perfumowane papierosy, że jechał do starego, uroczego miasteczka, gdzie nikt na niego nie czekał prócz wspomnień, że pozbył się żony i że... To ostatnie „że" było czarującem vis à vis, ubranem w dyskretne, a mimo to ciepłe kolory, w kostjum chyba paryski, tak zawrotnie piękny, w jakiś cud kwiatowy, który imitował kapelusz, w woalkę o kolorze rezedy, półbuciki z ażurowo wycinanej skóry, w przeźroczyste pończoszki...

Tomasz nie mógł ukryć swego oczarowania. Pocóż zresztą je ukrywać? Zbieg okoliczności, kaprys chwili zamknął ich we dwoje w przedziale pociągu pospiesznego na przeciąg godziny, która jednak miała nieoczekiwaną i niepokojącą wartość. Trzeba było korzystać z urody tej chwili. Tembardziej, że nieznajoma przyglądała się Tomaszowi ślicznemi, srebrzystemi oczami prawie z tęsknotą. I ten wyraz jej oczu zaniepokoił poważnie Tomasza. Ile razy kobieta tak na niego spojrzała, w jego szarem, punktualnem, wzorowem życiu „stylowego" urzędnika, działy się rzeczy między niebem a ziemią, o których się nie śniło filozofom, a tem mniej buchalterom.

Kim była? Piękność kobiety jest jej najlepszą legitymacją. Kiedyś, przed laty — Tomasz był poetą. Pisywał wiersze, które chętnie drukowano w magazynach literackich. Wiersze z nastrojem, księżycem, jaśminem i łzami, według starej romantycznej recepty. Wiersze — dla dziewczyny. Rokowano mu nawet pewną przyszłość. Życie oduczyło go liryki i przykuło do biurka prokurenta firmy, sprzedającej auta i motocykle. Ożenił się z pierwszą z brzegu posażną panną. Właściwie sam nie wiedział dlaczego. Zresztą Irena uchodziła za ładną pannę i miała dużo wdzięku. Ogólnie zazdroszczono mu karjery, żony, posagu. A jednak w życiu Tomasza była pustka i z upływem lat pogłębiała się stale i ciągle między nim a Ireną.

Nie było w tem winy żony, niezłej i przeciętnie ładnej kobiety, która go poprawnie, chłodno, ale wzorowo kochała. Była to wina tamtej. Śmiesznej, brzydkiej, niezgrabnej dziewczyny z małego miasta. Jego pierwszej miłości. Miłości? Jeśli można tak nazwać pamięć zapachu kwiatów, pamięć ust w mroku, pamięć naiwnych słów i zdarzeń, które nie były romansem, nie były przygodą, a tylko kartką z życia biednego, prowincjonalnego studenta. Coś jednak było w tej dziewczynie, jakiś utajony czar serca, wdzięk umysłu, urok i powab, co wyzwalało w nim tęsknotę do piękna, co zmuszało go do poezji, co dawało mu poczucie własnej wartości.

Ona sama mało go obchodziła. Z czegoś żyła oczywiście, poza czytaniem wierszy i liczeniem gwiazd. Robiła kapelusze dla salonu „Riviera". Tak samo pretensjonalnie nazywały się jej sny. „Modniarskie" sny, jak to określał pogardliwie. Marzyła o wyjeździe na Rivierę, o sukniach, klejnotach, szmerze koplementów, własnej urodzie. — I odnajdywała to wszystko w jego ramionach. W każdym pocałunku spełniały się jej marzenia. W każdym uśmiechu dzieliła z nim nieznany i cudowny świat.

Nie zamierzał wiązać z nią życia, choć po wielu latach zrozumiał, że tylko życie z tą szarą, bladą, źle ubraną dziewczyną byłoby naprawdę piękne, że tylko z nią jedną, związany na całe życie, byłby się nadal czuł wolnym człowiekiem. W uroczych ogrodach starego zapomnianego miasta, w pachnącej jabłoniami dziurze, kryło się wielkie, skrystalizowane w jednych oczach dziewczęcych piękno.

Zapewne nie kochała go. Była za naiwna, za młoda, niedorosła do szczęścia. Łączyło ich tylko miłosne oczarowanie, rodzaj cza-

Spotkanie

★

HANNA KŁOSIŃSKA

NOWELA

rującej i nieszkodliwej egzaltacji. Wyjechał nagle. Nawet się z nią nie pożegnał. Kochał inne kobiety i wśród tylu miłości widział zawsze przed sobą nieładną i smutną twarzyczkę tej „pierwszej". Czasami tęsknił. Nietyle za nią samą, ile za chwilami z nią przeżytemi.

Od lat projektował odwiedziny miasteczka, zawsze jednak zmieniał decyzję. Tego roku zmusiły go do tego okoliczności. W miasteczku zamieszkał stryj Tomasza, dziwak, fantasta, archeolog. Zaprosił Tomasza i Krasowiecki chętnie skorzystał z zaproszenia, tembardziej, że stryja, który dużo podróżował, nie znał prawie zupełnie.

Pani podniosła rezedową woalkę i pozwoliła się podziwiać olśnionym oczom Tomasza. Miała śliczny owal twarzy, dziecinne nadąsane usta, pełne kobiecych czarów oczy i długie rzęsy, za jakiemi Tomasz przepadał. Wydała mu się uosobieniem miasta, do którego jechał. Jego czaru, młodości i poezji. Uśmiechała się jakby ze zrozumieniem i Tomasz zachęcony przedstawił się bez wahania. Okazało się, że jechali do tej samej „dziury". Nieznajoma miała tam tajemnicze interesy, o które Tomasz nie pytał. Chciał, by okrywała ją pachnąca rezedowa tajemnica, w kolorze woalki, która zalotnym obłokiem owiewała jej główkę. Więc zamiast pytać, wspominał.

— Między płotami wije się spadzista uliczka, nazywa się, nazywa się...

— Różana.

— Tak, rzeczywiście, Różana. Jakżeby inaczej mogła się nazywać ulica na prowincji!

...aleja lipowa, chodziłem tamtędy o zmroku...

— Z dziewczyną.

— A skąd pani wie?

— Kiedy mężczyzna wspomina aleję lipową, wiemy, że samotnie nią nie chodził. Widział pan później wiele parków i ogrodów, dlaczego ich pan nie wspomina? Były napewno piękniejsze, ale nie były... lipowe. Lipowe! To słowo śpiewa, jak skrzypce i płynie, jak miód i pachnie, jak ogród. Młodość była lipowa, miłość była lipowa, smutek był także lipowy, złoty i pachnący. Ten lipowy kolor i zapach świata nie powtórzył się już nigdy, nie odnalazł w tysiącu przygód. No, niechże pan odpowie, czy była w pana życiu druga taka godzina lipowa?

— Nie. Nie była.

Pani opuściła rezedową woalkę na twarz i stała się prawie niewidoczna.

— Na ratuszu jest stary zegar z kurantem.

— Wiem.

— Spotykaliśmy się pod tym starym zegarem z kurantem. Czytywałem jej cudze wiersze.

— I szeptałem własne?

— Znowu pani odgadła.

— Wygląda pan na poetę.

Nie wiedział, czy to ironja czy komplement, na wszelki wypadek uśmiechnął się, bo i jakże nie uśmiechnąć się do tych oczu djabelnie ładnych i niepokojących.

— Tak, wtedy pisywałem wiersze.

— Żałuje pan tego?

— Och, nie. Żałuję, że ich dzisiaj nie piszę.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak ona wyglądała, ta dziewczyna z poematu.

— A wie pani, że nie pamiętam. Była bardzo pospolita. Żadna... Chciałbym ją jednak zobaczyć, tę moją pierwszą. Och, nie, proszę się tak nie uśmiechać. Nie kochałem jej. Kochałem tylko miłość, kobieta była mi obojętna, ta, czy inna, wszystko jedno. Trzeba mi było kogoś, ktoby cierpliwie słuchał moich wierszy, ktoby ze mną liczył gwiaz-

dy i od czasu do czasu płakał. Nawinęła się jakoś pod rękę. Na imię jej było Tosia. Tak prowincjonalnie. I ona sama pachnęła prowincją, jak ta uliczka Różana.

— Zapomniał pan łatwo?

— Rzecz dziwna, tęskniłem. I dziś jeszcze tęsknię.

Nieznajoma cofnęła się od okna. Zapadał letni szybki zmierzch.

— Ożenił się pan z miłości?

— Możnaby to tak nazwać. Ale miłość widzi się zawsze w postaci obcej, cudzej kobiety, niespodzianki, fantazji, przygody. Miłość może być np. jak pani, nieoczekiwana, cudza, śliczna, bolesna. Ale nawet przy pani pamiętam o niej. Przy każdej kobiecie pamiętam o niej. Na całe życie mężczyzny pada zawsze cień tej pierwszej, zlekceważonej, wyśmianej, lekkomyślnie porzuconej. Wszystkie kobiety, nawet najbardziej kochane, są do siebie podobne, tylko ona nie jest podobna do żadnej innej. Naprawdę chciałbym ją jeszcze zobaczyć.

— Dlaczego?

— By zapomnieć. Wyszła zapewne zamąż, ma dzieci. Jest brzydka, tęga, źle ubrana. Takie, jak ona, te nasze eteryczne i gwiaździste, wierszami utulone, marzeniem wypieszczone, zamieniają się w życiu na typ t. zw. kumoszek. Jak w wierszu Pawlikowskiej, zmieniają się w ciotki „pełne kurzej tężyzny i jaglanej siły". A tylko ciocia Jola, wiotka i pachnąca, chodziła w piórkach strusich i tiulach ze słońca, całowała podnosząc gwiaździstą woalkę"... Ciocia Jola, to może pani?

— A jeśli... ona?

— Wykluczone. To był mały koczkodan. Nie nosiła woalek i przyznam się pani w sekrecie, że nie umiała całować. Dlatego od niej odszedłem, że nie można się było po niej niczego spodziewać. Wiedziało się zgóry, jaka będzie za lat dziesięć, dwadzieścia.

— A ile wtedy miała lat?

— Szesnaście. Dziś — jakieś dwadzieścia osiem. Niektóre kobiety są wtedy najpiękniejsze, ale ona była taka brzydka. Każdy rok ją postarzał.

— I mimo to zachował pan dla niej tyle sentymentu...

— To nie dla niej, dla jaśminów i prowincji.

— Przypuśćmy. Pan odrazu zajedzie do stryja?

— Nie. Już późno. Stryj się niedawno ożenił i nie chciałbym pani domu sprawiać niepotrzebnego kłopotu. W miasteczku jest hotel, przerobiony z barokowego pałacyku, z duchami, pelargonjami, legendami i balkonem. Tam przenocuję. Pani zna mego stryja? Podobno osobliwy człowiek, fantasta, uczony, poeta i globtrotter w jednej osobie. Rodzinna fama niesie, że jest bajecznie bogaty.

— Czarujący człowiek — szepnęła pani z westchnieniem — szkoda, że już żonaty i to...

— Z kim, niechże pani dokończy?

— Z małą modystką z „Riviery"! Zapewne z tą, o której pan mówił.

— Blondynka, wysoka, z niebieskiemi oczami?

— Niestety, ta sama.

— I pani nazywa człowieka, ożenionego z tak nijaką istotą czarującym? Jakżeż mu współczuję! Cóż go tak urzekło?

— To samo, co i pana, wieczory lipowe, ulice różane, zegar z kurantem, naiwna dziewczyna o naiwnem sercu. Romantyczność, proszę pana, ten „dziwny rak", co toczy prowincję.

— No, nie zazdroszczę mu. Nie zazdroszczę. I żałuję, że nie zabrałem żony. A to mnie pani rozczarowała. Wolę wprawdzie, że ona wyszła zamąż, niż żeby umarła na suchoty, albo wypiła esencję octową, jednak...

— Cóż z tem ma pańska żona wspólnego?

— Chciałbym teraz pokazać tej smarkatej, małej, jaką sobie wybrałem kobietę. Bądź co bądź reprezentacyjną, elegancką, ładną.

— Zrobi pan to następnym razem. I wpierw zobaczy pan, jakiego ona wybrała sobie człowieka.

— Albożtaka gąska umie i może wybierać? To on ją wybrał.

— Niech i tak będzie — pani uśmiechnęła się w mroku.

— Ach, prawda, rozumiem, nazwała go pani czarującym człowiekiem. Czarujący człowiek! Przeżył swoje życie, jak szaloną eskapadę i zawinął do portu z tym, z tym...

— Małym koczkodanem — poddała pani.

— Właśnie, bo chyba nie zechce mi pani wmawiać, że „świat zeszedłszy, kochał jedną".

Tomasz przymknął powieki. Milczał przez chwilę i palił papierosa. Wreszcie nieoczekiwanie i przez zęby wymruczał:

— Zapomniała, tak łatwo zapomniała!

— Może wcale nie łatwo — uśmiechnęła się do swych myśli śliczna pani.

— Czy ja panią jeszcze zobaczę? Muszę panią widzieć. W tem mieście spotyka mnie zawsze coś dziwnie pięknego, dziś zaś najpiękniejszem z wydarzeń jest pani sama.

— Czy mam ją zastąpić, czy mam być antidotum przeciwko godzinie lipowej?

— Nie! Nie! Przyrzekam pani, że więcej o niej nie wspomnę. Jej już niema. Nikogo niema. Jest tylko pani. Sama jedna. Sama jedna w mieście mojej młodości. Spotkamy się tylko jeden jedyny raz pod zegarem z kurantem i więcej już nigdy. Naprawdę nigdy. Więc dobrze? Jutro? Widzi pani, chcę pożegnać moją młodość pani ślicznemi oczami, pani uroczym uśmiechem, pani jasnemi włosami. Czy pani mi pomoże?

Pozbyła się go wreszcie, podając numer telefonu.

Nazajutrz wczesnym rankiem Tomasz zadzwonił pod wskazany adres. Pokojówka oświadczyła mu, że zaraz panią Krasowiecką poprosi.

— Panią Krasowiecką? Tomasz powoli odłożył słuchawkę. Więc to była ona? Więc taką kobietą stała się ona, ta jego pierwsza miłość?

Najbliższym pociągiem wrócił do Warszawy.

A piękna pani uśmiechnęła się smutnie do milczącego telefonu i wieczorem poszła pod zegar z kurantem, na spotkanie, na które nikt nie przyszedł...



Serdecznie panu gratuluję — mówi Pan Prezydent Ignacy Mościcki.



Zechce pani przyjąć wyrazy serdecznego współczucia — mówi Duce do wdowy po poległym lotniku.



Dziękuję panu, pułkowniku, za odznakę pułkową — oświadcza król Karol rumuński pułkownikowi Grodzkiemu w Biedrusku.



Gratuluję pani sukcesu — życzy prezydent Lebrun artystce.

Jak PAN PODAJE RĘKĘ?

Praktyczna rola prawej naszej ręki, którą posługujemy się w najważniejszych czynnościach życia, nabrała wkrótce w dziejach kultury symbolicznego i specjalnego znaczenia. Prawica stała się synonimem charakteru, reprezentantem człowieka: staje się synonimem woli jednostki, jej godności i honoru. Prawą rękę też podajemy w uścisku znajomym już nietylko dlatego, że jest to poprostu... najwygodniejsze, ale też dlatego, że właśnie prawica nas „reprezentuje".

Uścisk dłoni nabrał z tych też powodów znaczenia większego niżby się zdawało: ludzie, którzy w drobiazgach upatrują pewne cechy ludzkiego charakteru, nie pominą, poza pismem człowieka, lub linjami jego ręki, również i uścisku dłoni. Znamionuje on nasz nastrój, nasze intencje, nasz charakter. Ludzie, którzy z racji swego stanowiska, znaczenia itd. muszą stykać się z dużą ilością osób z różnych środowisk, muszą też, nolens volens, „dozować" swój uścisk dłoni, stosować różne jego rodzaje i odcienie. Nie może prawdopodbnie czynić tego prezydent Roosevelt, który w dniu 1 stycznia ściska dłoń kilkunastu nieraz tysięcy ludzi! Wiemy, że niektórzy monarchowie i wielcy ludzie podanie ręki uważali za wyróżnienie dla osób, z którymi mówili: tak czynił podczas audjencyj Franciszek Józef, podając rękę tylko dawnym znajomym lub swym krewnym. Inny jednak monarcha, Alfons XIII, lub Albert I i syn jego Leopold III belgijscy są w podawaniu ręki bardzo „szczodrzy".

Ileż rodzajów i „fasonów" jest tego „shake-handu" zależnie od okoliczności, nastroju, sympatji czy antypatji! Nasze zdjęcia informują nas o kilku z nich: gdy prezydent R. P. I. Mościcki podaje rękę serdecznie, uprzejmie i życzliwie, marsz. E. Śmigły-Rydz ma energiczny, żołnierski uścisk dłoni. Kanclerz Hitler nie wkłada w swój shake-hand specjalnej kurtuazji czy uprzejmości, ale podaje rękę poprostu, po męsku. Król Jerzy angielski zazwyczaj podaje rękę nieco sztywno. Inny król natomiast, Karol II rumuński podaje rękę wprawdzie nieco wyniośle, ale po żołniersku, zdecydowanie, jak to widzimy na zdjęciu, gdy dziękuje płk. Grodzkiemu za odznakę pułkową, 57 p. p. podczas swego pobytu w Biedrusku. Prezydent Lebrun gratuluje pięknej artystce powodzenie, nie jak prezydent Francji, ale jak życzliwy znajomy, toteż i jego uścisk dłoni jest mniej jak oficjalny: ciepły i ojcowski. Mussolini podaje rękę energicznie, jakby chcąc się przekonać o uczuciach osoby, z którą się wita: wkłada w podanie ręki tyleż temperamentu i dynamiki, co w wszystkie przedsięwzięcia. Chamberlain, popularny „latający premjer" wita się życzliwie, ale równocześnie, raczej chłodno. Zresztą Anglicy wogóle witają się mniej jak ludzie kontynentu i kontentują się chętnie jedynie ukłonem.

Gdy więc dobrze będziemy obserwować uścisk dłoni naszych bliskich czy osób ogólnie znanych, możemy z tych obserwacyj wysnuć pewne wnioski o ich charakterze i usposobieniu wobec nas.

JGM.



Żołnierski i przyjacielski uścisk dłoni: Marszałek Rydz-Śmigły i gen. Trojanowski.



Dokonaliśmy wielkiego dzieła — mówi Adolf Hitler do Konrada Henleina.



Ceremonjalny, pełen dworskości uścisk dłoni Jerzego VI, witającego się ze swym teściem hr. of. Strathmore, w Edynburgu.



Cieszę się, że pana widzę! — Premjer Chamberlain wita się z lordem Halifax.

Pan Witold rozparł się wygodnie na siedzeniu i oddał się marzeniom. Pomimo niezliczonej ilości nalewki, którą zdołał przez cały wieczór wypić, czuł się dobrze. Głowa była trzeźwa, tylko ruchy ociężałe i senność go ogarniała. Nic dziwnego: poprzedniej nocy nie zmrużył oka, atakowany przez chmary robactwa w nędznym pokoiku hotelu. Teraz było mu dobrze. Jechał oto ze starym przyjacielem w wygodnej bryce, a wokoło roztaczała swe uroki cudowna, księżycowa noc letnia. Pan Witold jechał i rozmyślał. Czuł się wrośnięty w tę cichą, senną ziemię kresową; nie zamieniłby jej na żadną inną. Gdzieś tam na dalekim świecie ludzie niszczą resztki tego, co ongiś było przyrodą, pstrzą najpiękniejsze zakątki obrzydliwemi fabrykami, hotelami, rzędami słupów i anten i wszystkiem tem, co zdołała zwichnięta natura ludzka wymyślić dla utrudnienia i obrzydzenia sobie życia. Tu jeszcze jest cicho i tu jest prawdziwa wieś. Starczy jej chyba aż do śmierci... I patrzał z przywiązaniem na mijane brzeźniaki i pólka, leżące w poświacie księżyca i dobrze mu było...

Inaczej pan Józef... Im bliżej był domu, tem niespokojniej kręcił się na siedzeniu; wreszcie spojrzał na zegarek i półgłosem odezwał się do towarzysza.

— Wiesz, najlepiej będzie, jak nie będziemy podjeżdżać pod ganek... a to kobiety pobudzimy... niechaj śpią sobie...

— Dobrze — sennie odparł pan Witold — dojdziem pieszo...

Przez chwilę milczeli i znowu pan Józef zaczął:

— Moja Jadwisia nie lubi, jak późno wracam do domu. A teraz jeszcze i siostrę ma z sobą, toż kobiety wydziwiają nade mną!... No, ale dzisiaj nic już nie powiedzą, a jutro, jak ciebie zobaczą, to i spokój będzie, Bo prawdziwie — to zabawiliśmy trochę przydługo...

— Uhm...

Przed końmi zamajaczyła duża kępa starych drzew. Z pomiędzy nich przebłyskiwała biała ściana domu, oświetlona księżycem. Od leżących niżej zabudowań folwarcznych doszło szczekanie psów.

— Wejdziemy cichutko i tobie ja łóżko własne odstąpię, a sam w kancelarji na kanapce się prześpię — mówił śpiesznie pan Józef. — Tylko nie protestuj! Już tak postanowione; ja spałem dobrze w zeszłą noc, a tobie wypocząć się należy...

Gdy pan Witold, po dłuższem krążeniu koło domu i skradaniu się przez ciemny korytarz, znalazł się nareszcie w przytulnym pokoju pana domu, wzięła go taka senność, że ledwie zdążył się rozebrać. W pożyczonej przez pana Józefa koszuli nocnej rzucił się na łóżko i prawie zaraz zasnął. Gościnny gospodarz przysunął mu jeszcze papierosy i zapałki i zdmuchnąwszy świecę, przeszedł do przyległej kancelarji, gdzie położył się spać na wąskiej kanapce.

Za chwilę cały dom zapadł w ciszę. Z podwórza dochodziło tylko urywane naszczekiwanie psów i wokoło domu cykały świerszcze.

Było już dobrze po północy, gdy śpiącego smacznie gościa zbudził mały chłód. Pan Witold otworzył oczy — i zmartwiał...

Jakaś postać w bieli stała nad nim i ściągnęła właśnie z niego kołdrę. Chciał krzyknąć, gdy z boku wysunęła się druga biała figura i trzymaną w ręku, jakąś mokrą i zimną szmatą zaczęła walić poniżej krzyża, wołając przytem:

ło! Zabawić się... młodziaczkowi!... A masz! A masz!

Piekący ból w miejscu, gdzie niegdyś ojciec lokował namacalne rady i lekcje życiowe, otrzeźwił pana Witolda. Zerwał się i krzyknął, naciągając kołdrę zpowrotem na siebie. Widma zawahały się i szepnąwszy coś, znikły w drzwiach od korytarza.

Porwał się pan Witold i jak był, w koszuli nocnej, wpadł do kancelarji. Niepokulicz spał smacznie, napół ubrany, przykryty podróżną burką. Na trzask otwieranych drzwi, obudził się i usiadł.

— Co się stało?...

— A ot, co się stało... kobiety twoje — wiadomo — napadły mię, kołdrę we śnie ściągnąwszy i czemś mokrem wybiły... Nieprzyjemność wielka...

— Kab' tiebia wołki!... — mruknął pan Józef, ściskając pięście. — Daruj mileńki mój! Takie to, widzisz, brewerje ze mną wyprawiają... Na mnie się były zmówiwszy, a na ciebie popadłszy... — mówił, zapalając świecę, a na twarzy jego drgał daremnie tłumiony śmiech.

— Nie uwierzysz, jak mnie to nieprzyjemnie, że ciebie w moim domu despekt taki spotkał... Już ja policzę się z niemi!... A mnie nie miej za złe serdeńko, boż ja nie zawinił, a baby!

— Pamiętać — to będę chyba do śmierci, ale nie tobie za złe, tylko ot — tak... a toż zapomnieć trudno o takim przypadku... Śpisz smacznie, a tu ci... ha ha ha!... ręcznikiem... mokrym... ha ha ha: a ot... siurpryza!... hi hi hi!...

I pan Witold stojąc w nocnej koszuli naprzeciw przyjaciela, za brzuch się chwycił i zaniósł się śmiechem niepowstrzymanym.

— Toż bracie... czerezwyczajka czysta

Biedneńkiś ty — przed babskim sądem się teraz tłomaczyć... hi hi hi...

Pan Józef zaraziwszy się śmiechem, przyjaciela, pokładał się po sofce i wtórował dyskretnym basem.

— Ot i wstydu narobiły niewiasty... — mruczał. — Na toż ja przyjaciela po latach spotkał, żeby mi go... w domu moim... obito!... Hu hu hu!... w nocnej koszuli... pędzano... hu hu hu!... A teraz co?...

— Teraz sam bracie pójdziesz tam spać, bo mnie obojętnie [1]) byłoby po całej aferze... Ja tu zostanę i na kanapce dośpię chyba do rana.

Po krótkich certacjach pan Józef przeniósł się do swojego pokoju, a pan Witold ułożył się na kanapce w kancelarji. Jeszcze przez chwilę chichotał w poduszkę i mruczał coś pod nosem, wreszcie odwrócił się do ściany i zapadł w ciężki sen.

Aliści ledwie minęło chwil kilka, gdy drzwi, wiodące z korytarza, otworzyły się bezszelestnie i od progu wionęły ku leżącemu dwie białe postacie, w powłóczystych szatach. Bez słowa przypadły do leżącego, jedna zerwała z niego nakrycie, a druga zamachnęła się trzymanym w ręku białym ręcznikiem... i na obnażone, a jakby umyśnie podane, właściwe miejsce, spadły z głośnem plaskaniem wilgotne, ciężkie razy...

— A masz!... a masz!... A chować mi się będziesz!... Innych mi podstawiać!... Za mój wstyd! Za moją omyłkę!...

Pan Witold zawył. Jak oparzony zerwał się z kanapki i skręcając się pod gradem ciosów, chwycił za brzeg burki, wyrwał ją z rąk oprawczyń i wrzeszcząc w niebogłosy, usiłował się nakryć z głową.

— Litości! — wołał — Toż drugi raz!... Któż widział!... Bezeceństwo czyste!...

I skoczył w drzwi sąsiedniego pokoju, zamykając je za sobą z trzaskiem. A już i pan Józef zerwał się z łóżka i biegł do drzwi, aby nieść pomoc przyjacielowi. Zderzyli się boleśnie w ciemności, ktoś się zatoczył na stojące w rogu wieszadło, obciążone dziesiątkami płaszczy i kożuchów, wieszadło pochyliło się zwolna i głucho upadło na podłogę, tarasując sobą wejście do kancelarji.

W sekundzie ciszy, jaka nastąpiła po upadku, doszedł z tamtej strony szybki tupot bosych nóg i zdławione szepty. Napastniczki uciekały w popłochu w głąb domu. Pan Józef odrzucił nogą wieszadło i runął w pogoń z przekleństwem na ustach. Słychać było jego kroki zrazu szybkie, potem coraz wolniejsze, aż wreszcie wszystko ucichło...

Pan Witold ubierał się śpiesznie, narzucając na siebie byle jak poszczególne części garderoby. Gdy wsunął buty, zatrzymał się chwilę, nadsłuchując i ruszył z politowaniem ramionami; gdzieś w głębi domu wywinął się w ciszy sopranowy, ostry głosik niewieści, nieprzerwanym sznureczkiem prawiący, dzwoniący, nie tracący chwili, choćby dla nabrania tchu... Od czasu do czasu odzywał się cichy, jakby proszący bas męski, zagłuszany momentalnie kaskadą pisklіwych okrzyków, poczem sopranowy potok parł dalej zwycięsko naprzód.

Pan Witold otrząsnął się ze zgrozą, otworzył cicho okno i rozejrzawszy się w prawo i w lewo, jednym susem wydostał się na dwór. Biegł alejką i spluwał co chwila z pasją, oglądając się niechętnie na bielejący wśród szarości świtu dom.

— Ot — i z podatkiem poradzisz, a z niewiastą ani rusz... Czort mię tu przyniósł — a tożby do rana jeszcze kilka razy wytłukły!... Biednyż on... w niewolę czystą popadł się!

Nie oglądając się więcej, wszedł wielkimi krokami na trakt i ruszył ku miasteczku.

Na wschodzie gwiazdy zbladły i złocił się świt.

[1]) „obojętnie" (od „bać się") — wg. gwary wileńskiej: „strasznie".



Jaki jest twój stosunek do SZTUKI?



Dawniej rolę mecenasów sztuki wypełniali monarchowie i wielcy panowie...

Parę dni temu byłem w kawiarni świadkiem rozmowy kilku osób, którą pozwolę sobie przytoczyć. Akurat bawiła w Krakowie para włoskich śpiewaków o światowej renomie. Jedna z pań zapytała kogoś z naszego grona, czy wybiera się na ten koncert?

— Owszem, poszedłbym bardzo chętnie, ale bilety podobno po 12 zł. tym razem. To stanowczo za słono!

— Przecież nie musi pan koniecznie chodzić na pierwszorzędne miejsca. Jeśli pan naprawdę lubi muzykę, to może pan także pójść na galerję.

— Tembardziej — dodał ktoś trzeci — że byłby pan tam w otoczeniu prawdziwych miłośników — raczej takich właśnie spotyka się na galerji.

— Kiedy ja, jak już idę, to chcę mieć przyjemność pod każdym względem i dlatego albo idę na dobre miejsca, albo wcale.

— No, a cóżby się panu wreszcie stało, gdyby pan nawet zapłacił te dwanaście złotych. Już nieraz widziałem, jak pan więcej przegrywał w bridża lub rumika.

— Tak, ale grając, po pierwsze miałem za te pieniądze emocję, a powtóre miałem szansę wygrania. A kupując bilety na koncert wiem z góry, że żegnam się z pieniądzmi nieodwołalnie.

— Chyba — wmieszałem się — iż liczyłby pan na to, że śpiewak będzie wycinał koguty jednego po drugim, publiczność go wygwizda, a kasa będzie zwracać pieniądze; wtedy miałby pan emocję i swoje pieniądze. No ale w tym właśnie wypadku nie mógł pan się tego spodziewać i to zapewne pana odstraszyło od koncertu.

Zaśmialiśmy się i zmieniliśmy temat. Muszę się przyznać, że byłem w tym wypadku nieszczery i żartem pokryłem to, co naprawdę pomyślałem. Jakże więc? — Czyż zetknięcie się z prawdziwą sztuką, jej konsumpcja — nie dają emocji? Czyż nie możemy się uważać zgóry za wygranych, jeśli wiemy, że w zamian za pieniądz doznamy wzruszenia i przyjemności w naprawdę dobrym gatunku? Ejże, chyba to pod względem ryzyka wytrzymuje konkurencję z rumikiem!

Nie chciałbym być fałszywie zrozumiany. Jeśli przytoczyłem tę rozmowę, to nie dlatego, bym miał do kogoś pretensję, że nie wydał dwunastu złotych za miejsce na koncercie. Bynajmniej. Nie pochwalam tak rozpowszechnionej u nas wspaniałomyślności z cudzej kieszeni. Chodzi o co innego. Mianowicie ustaliło się u nas oportunistyczne mniemanie, że sztuka jest luksusem, na który można sobie pozwalać dopiero po pokryciu wszelkich innych swych potrzeb.

Jest to niezwykle wygodny parawan dla tych czynników, któreby mogły być pociągnięte do pewnej odpowiedzialności moralnej za swą zupełną obojętność dla sztuki i brak jakiejś troskliwszej nad nią opieki. Sztuka zawsze wymagała istnienia mecenasów. Dawniej rolę tę wypełniali monarchowie i wielcy panowie. Skłaniało ich do tego wielokrotnie stwierdzone prawdziwe ich zamiłowanie do sztuki, dość zrozumiałe u jednostek od wielu pokoleń żyjących w kulturze, — no i niewątpliwie zwykła ludzka próżność. Pozatem nie zapominajmy, że mieli możność osobistego korzystania i konsumowania produktów popieranej przez siebie sztuki. Jeśli taki jegomość wybudował zamek lub pałac, otoczył go ogrodami i wyposażył w dzieła sztuki, obrazy, rzeźby, tkaniny i meble, to było to rzeczywiście dla użytku jego samego lub jego potomków, nie mówiąc już o tem, że rosła stąd jego chwała.

Dziś, gdy bieg dziejów zlikwidował tych mecenasów sukcesję po nich objął ogół społeczeństwa, które ponoś przez rozpowszechnienie się kultury dorosło do tej roli.

Sukcesja ta jest jednak raczej teoretyczna, a to właśnie w dużej mierze dzięki mniemaniu o zbytkowności sztuki. Niech tylko ktoś spróbuje wszcząć dyskusję na ten temat, a zaraz spotka się z argumentami albo w rodzaju użytych w przytoczonej na wstępie rozmowie, albo znacznie poważniejszymi, jak to, że w takich czasach jak obecne, gdy niema szkół, szpitali, dróg, dostatecznego uzbrojenia itd., nie czas obracać zasoby publiczne na popieranie sztuki, bez której można wszak wyżyć. Sztukę i artystów traktuje się jako mniej lub więcej sympatyczne elementy trzeciorzędnego znaczenia i traktuje odpowiednio protekcjonalnie.

Jest wielu, którzy sztukę uważają za zbytek, a nie śmiejąc zaprzeczyć wogóle jej potrzeby, odkładają kultywowanie jej do lepszych czasów i zapominają, że dążenia artystyczne są człowiekowi immanentne, że zrodziły się na najwcześniejszych szczeblach cywilizacji i towarzyszyły jej zawsze równolegle do jej rozwoju. Dopóki człowiek będzie człowiekiem i nie zamieni się w zmaterjalizowanego i zmechanizowanego dwunoga, dopóty potrzebować będzie sztuki, a płodna tęsknota za nią opromieniać będzie jego ciężkie chwile.

Czyż sztuka ludowa nie powstawała wśród biednych i uciemiężonych warstw, których prymitywne nawet potrzeby z pewnością nie były pokryte, a które mimo to poświęcały swój wolny od pracy czas i skromne zasoby na sztukę i zdobnictwo? Przypuszczam, że ci co dziś pobieranie sztuki odkładają do lepszych czasów, sami nie wierzą, by kiedykolwiek mogła nadejść taka chwila, że społeczeństwo skonstatuje, iż ma wszystkiego po dziurki w nosie i że nadszedł złoty wiek i odpowiedni czas na uprawianie sztuki.

Jeśli tu rozważamy te ogólne nastawienia, to nato, aby mieć możność przy sposobności zapytać się samych siebie, do jakiego stopnia ponosimy winę takiego stanu rzeczy. Chodzi tu przedewszystkiem o ustalenie naszego stosunku do sztuki na codzień.

Dlaczego na codzień? Bo istnieje u nas bardzo wzniosłe nastawienie do sztuki, ale na niedzielę. Niedziela taka wypada przeciętnie u nas co parę lat, zawsze z okazji jakiegoś jubileuszu. Wiadomo, że urządzanie obchodów to nasza specjalność. Poprostu wyrobiliśmy się w tym kierunku na fachowców. Przypomnijmy sobie, jaki ruch się zrobił w Polsce w roku 1932, gdy obchodziliśmy dwudziestopięciolecie śmierci Wyspiańskiego. Od najwyższych szczebli społeczeństwa aż do szaraczków, skoczyli wówczas wszyscy jeden przez drugiego, aby windować Wyspiańskiego na tak niebotyczny piedestał, że gdyby on sam żywy się na nim znalazł, dostałby zawrotu głowy. Nie było tak przesadnych dytyrambów, na któreby się nie wysilali ci, których miesiąc przedtem Wyspiański obchodził tyle, co przeszłoroczny śnieg. Każdy wówczas pragnął się pochwalić jakąś łącznością z osobą artysty. Jeśli ktoś dostarczał mu swego czasu bułek, lub prasował spodnie — to pisał o tem wspomnienia. Niedziela minęła i Wyspiański wrócił do lamusa.

Jeślim sięgnął do tego wspomnienia



— Kochany mistrz nam zagra!...

z przed paru lat, to broń Boże nie dlatego, bym miał potępiać objawy czci dla zmarłego artysty, ale by uwypuklić kontrast między rozhuśtaniem sprawy na niedzielę, a obojętnością na codzień. Zestawienie takie stawia pod znakiem zapytania szczerość takich uroczystości. Sądzę, że gdyby Wyspiański żył jeszcze dzisiaj, odnoszonoby się doń z wyrozumiałością, a młodzi artyści po kawiarniach nazywaliby go starym dziadem. Jeśli mówi się ogólnie, że na to, aby być wielkim trzeba umrzeć, to u nas to powiedzenie szczególnie jest trafne, a stosunek do artystów za ich życia wybitnie wyczekujący.

A teraz przypatrzmy się bliżej temu naszemu stosunkowi do sztuki na codzień.

Przypomnijmy sobie choćby te liczne reprezentacyjne fortepiany, na których nikt nie gra, ciągle jeszcze w wielu domach traktowane jako meble dekoracyjne, przynależne do salonu. A cóż można powiedzieć o tych wszystkich kibicach sztuki, którzy swój niby to pozytywny stosunek do niej wyczerpują w wieszaniu się u boku naszej fałszywej cyganerji, w popijaniu w towarzystwie artystycznych miernot i improduk-

tów, którzy zamiast coś tworzyć, wysiadują całemi dniami po kawiarniach i wyładowują się artystycznie li tylko mieleniem gębami, teoretyzowaniem i poniewieraniem sztuką innych, lepiej czy gorzej, ale bądź co bądź tworzących artystów.

Ustosunkowanie nasze na codzień do sztuki bywa bojaźliwe i bierne. Mam na myśli odruch dość rozpowszechniony wśród szerokich warstw, polegający na uchylaniu się od czynnego zainteresowania sztuką, jako rzeczą zbyt trudną, niedostępną, zrozumiałą tylko dla speców lub pięknoduchów. „Co ja tam wiem o tem, ja się nie znam, nie mam słuchu itd.". Coprawda dużą winę ponosi tu zmanierowana pseudo-sztuka nowoczesna, która doprawdy zbyt dostępna dla ludzi myślących normalnemi kategorjami nie była i nigdy chyba nie będzie. Wyczyny formistów czy też kocie muzyki nowoczesnych kompozytorów, jak i literackie produkty w rodzaju „Buta w butonierce" mogły się podobać tylko snobom, no i może własnym twórcom, choć to nie napewno. Cała ta produkcja odepchnęła szerokie warstwy od sztuki i zniechęciła je do niej.

Nie dajmy się tak byle czem odstrychnąć. Jeśli brak nam zupełnie poczucia dla jakiejś gałęzi sztuki, to może jeśli trochę poszukamy, znajdzie się ono u nas zato dla innej. Ale trzeba czynić w tym kierunku pewne wysiłki. Napewno warto. Weźmy naprzykład muzykę tak uprzystępnioną dzisiaj przez radjo. Iluż ludzi słucha tej muzyki nawet z przyjemnością, ale zupełnie bezkrytycznie. Głośniki radjowe przynoszą nam powódź beznadziejnych bzdur i śmieci muzycznych, ale też między nimi rzeczy wartościowe i piękne. Dlaczego tylu ludzi ucieka od tych ostatnich w popłochu jako od trudnych i nudnych. A może gdybyśmy słuchanie radja potraktowali bardziej samowychowawczo, gdybyśmy jednak starali się posłuchać częściej dzieł bezspornie wartościowych, może z czasem złapalibyśmy smak szlachetnej sztuki, która stałaby się powoli naszą własnością. Rozkoszy, które wówczas stanęłyby dla nas otworem, niktby już nam nie odebrał.

W podobny sposób możnaby się czynnie ustosunkować do różnych gałęzi sztuki. Dlaczegoż mamy się zgóry skazywać na to, że zawsze będziemy profanami? Przedewszystkiem starajmy się szczerze polubieć prawdziwą sztukę, — to nam napewno dobrze zrobi. To też gdy mamy u siebie jakieś dzieła sztuki, lub gdy spotykamy je na swej drodze, uprawiajmy w stosunku do nich jakby trwałą ich konsumpcję; przypatrujmy się im, pieśćmy je okiem, szukajmy w nich ciągle czegoś nowego, czego jeszcześmy nie dostrzegli. Nie traktujmy tych rzeczy inwentarzowo, ograniczając się tylko do konstatowania, że są i że w razie czego można się temi pozycjami wykazać. Oto właściwy, jak sądzę, stosunek do sztuki każdego z nas i to na codzień —. a nie od święta!

Może najbardziej irytujący stosunek do sztuki, to stosunek burżuja-sybaryty. Taki pan dopuszcza łaskawie, aby sztuka na niego działała, ale jedynie w kierunku podtrzymywania jego dobrego humoru i dobrego trawienia. Broń Boże nie wolno go martwić, bo on i tak ma w życiu tyle kłopotów! Taki łyk nie powiesi u siebie dobrego obrazu — bo temat jest smutny. Nie pójdzie do teatru na piękną wzruszającą tragedję lub do kina na wartościowy film bo mu się robi przykro — mimoza, delikacik jeden. Muzykę też uznaje tylko w gatunku tirli-tirli, bo go to dobrze nastraja. Myślałby kto, że sztuka — ta królowa ducha ludzkiego — dla niego ma być wschodnią niewolnicą, która ma go łechtać tam, gdzie mu przyjemnie, aby sobie beztrosko chichotał. Człowieku! Jeżeli artysta potrafi cię wzruszyć, szarpnąć twojemi trzewiami, wypełnionemi dobrą strawą, to powinieneś go za to w rękę pocałować, bo pozwolił ci na chwilę być naprawdę człowiekiem: cierpieć i czuć głębiej, niż ci to pozwala codzienne, szare, płaskie życie, które otacza nas wszystkich! Wzruszenia, które ci daje poważna sztuka, są takimże odprężeniem po codziennych twych kłopotach i zmartwieniach, jak i wesoła farsa. Przecież chodzi tu przedewszystkiem o kontrast z tą codzienną szarzyzną, gdyż ona właśnie naprawdę jest zabójcza, deprymująca i poniżająca ducha człowieka.

Wspomniałem o misji mecenasowania sztuce, która przeszła dziś na szeroki ogół społeczeństwa. Otóż w związku z tem zaznaczyć wypada, że wielokrotnie za wielką zasługę wobec sztuki poczytywano bywa, gdy ktoś zbiera i gromadzi dzieła sztuki epok minionych. Oczywiście zamiłowanie i pietyzm wobec sztuki zawsze są pochwały godne. Nie dopuszczajmy jednak do powstania tu pewnego nieporozumienia: jeśli dziś ktoś skupuje obrazy Matejki czy Juljusza Kossaka — nie jest mecenasem sztuki. Żadna nowa wartość z tego nie powstaje; obrazy te zmieniają poprostu właściciela, nic więcej. Przypomina mi ta kwestja wielu naszych wielkich panów, którzy z zadowoleniem pokazują u siebie Baciarellego portrety pradziadków lub prababek. Gdy je od czasu do czasu przewieszają z jednego gwoździa na drugi, robią przy tem miny mecenasów sztuki. Owszem mecenasami byli ci pradziadkowie wówczas, gdy zamawiali swe portrety u Baciarellego, ale prawnukowie — bynajmniej. Chyba że pójdą w ślady przodków i będą dawać obstalunki współczesnym artystom.

Tymczasem w stosunku do tych artystów daje się zauważyć tendencja raczej odwrotna. Nie wiadomo, skąd przyjął się zwyczaj, że właśnie artystów wolno naciągać na darmowe świadczenia dla społeczeństwa. Jak ma być loterja dobroczynna, zaraz dwie paniusie z komitetu walą jak w dym od jednej pracowni malarskiej do drugiej i naciągają na ofiary „na fanty". — „Drogi Mistrzu, jakiś obrazek, choćby malutki, przecież pana to tak mało kosztuje — parę kresek i już". — Do wirtuoza-muzyka te same pretensje: — „Kochany Mistrz nam zagra! Przecież pan nam nie odmówi!". — Pytam się, z jakiej racji? Czy ci, którzy tak ćwierkają, nie zastanawiają się nad tem, ile i jak ciężko jeden i drugi mistrz musiał się w życiu napracować, nim zdobył tę umiejętność, że wystarczy parę kresek, by powstała nowa poważna wartość, że wystarczy siąść do fortepianu i poprzebierać trochę palcami, żeby było innym przyjemnie? Przecież ci ludzie żyją z tego, to jest ich zawód, że tak powiem ich towar, za który należy płacić! Czy dlatego dobra te mają być rozdawane darmo, że są niematerjalne? Myślę, że przeciwnie, właśnie jako takie, tem bardziej dobrze i bez targu powinny być wynagradzane.

Niech nasz stosunek do sztuki opiera się na poczuciu, że jest to krynica wszelkiego piękna i radości, że bez sztuki życie nie warte jest trudu, a narody, które jej nie mają, nie warte są wspomnienia.

Vita somnium breve — ars longa.

Almaviva.

RYSUNKI: STEFAN BRZOZOWSKI, KRAKÓW

Poniżej: — Jeśli idę na koncert, chcę mieć przyjemność pod każdym względem...



Poniżej: Wiadomo, że urządzanie obchodów to nasza specjalność...



ZDJĘCIA: MUNDI, AMSTERDAM



6

Ameryka jest krajem drapaczy chmur, fabryk, wielkich rekordów i dziwactw miljonerów... Ameryka poza tem jest jednak też krajem snobów! Nic w tem dziwnego, skoro weźmiemy pod uwagę, że na kraj ten spadł deszcz dolarów tak z dnia na dzień, bez poprzedniego przygotowania. Snobizm, zwłaszcza snobizm miljonerów stara się odszukać jakiś tytuł do wielkości w przeszłych czasach. Ale skąd wziąć w trzeźwym, nowopowstałym kraju, szczycącym się swem „self-made-mańštwem" antenatów z dalekiej i bohaterskiej przeszłości? I na to znalazł się sposób: sięgnięto do Indjan, tych najdawniejszych mieszkańców U. S. A., których z jednej strony w brutalny sposób wypędzono z ich siedzib, z drugiej zaś podniesiono do godności mitycznych nieomal przodków, czegoś w rodzaju Wikingów lub Rzymian. Poza snobizmem znalazł się też drugi czynnik powodujący, że dzisiejsi Amerykanie chętnie mówią o dawnych „indjańskich" czasach i starają się wskrzesić to, co jeszcze pozostało z wieku, o którym tak pięknie pisze Fennymore Cooper lub pani Beecher Stove, twórczyni słynnej powieści „Chata wuja Toma". Tym czynnikiem jest poprostu potrzeba romantyczności, potrzeba niemniej piekąca jak potrzeba dolarów, potrzeba wygodnego mieszkania.

Skutkiem tego romantyczno-snobistycznego nastawienia owych „upper ten thousand" w U. S. A. jest rokrocznie urządzane święto indjańskie w Pendleton, stan Oregon. Święto to obejmuje niezwykłą ilość zabaw, pokazów, pochodów, nie obchodzi się rzecz prosta, bez konkursów piękności, tak popularnych w ojczyźnie Washingtona i Lincolna. Biorą w święcie udział cowboye, amerykańskie pendant naszych zawadjaków kresowych, biorą też autentyczni albo mniej autentyczni Indjanie, między innemi „punktami" programu odbywają się tam „kawalerskie jazdy" staremi karetami pocztowemi, „mail coaches", pamiętającemi napewno czasy niewolnictwa albo nawet walki o wolność z W. Brytanją. Święto w Pendleton jest naprawdę świętem narodowem, które przepełnia dumą Amerykanów, chcących mieć na swej ziemi odrobinę „historyczności".



1



2



3



4



5



7



8



9

TRADYCJE FAR WEST'U

1: Królowa ostatniego „roundup" w Pendleton. 2: Cowboye udają się starym dyliżansem na miejsce igrzysk. 3, 4, 5: Trzy fazy ujeżdżania byka, które wchodzi w skład programu „roundup". 6: Miss Nina Minnick, Indjanka z Yakima, wybrana królową piękności na „roundup" w Pendleton. 7: Wspaniałym widowiskiem jest wyścig starych dyliżansów, — „Mailcoaches". 8: Ze wszystkich stron stanu Oregon podążają cowboye i Indjanie w dzień igrzysk w Pendleton. 9: Na „roundup" nie brak widzów, którzy chcą się dostać na igrzyska bez biletu.

charakter czysto rodzinny, to też przy wigilijnym stole skupiają się wszyscy najbliżsi. Wigilijną wieczerzę poprzedza tradycyjne łamanie się opłatkiem, któremu towarzyszą życzenia wszelkiej pomyślności.

W różnych okolicach Polski z dniem tym wiążą się rozmaite zwyczaje. Dość wspomnieć podkładanie siana pod obrus dla przypomnienia betlejemskiego żłóbka, parzystą liczbę uczestników wieczerzy, pozostawianie niezajętych krzeseł dla przygodnego, zgłodniałego gościa lub duchów, które mogłyby przybyć w ten uroczysty, wigilijny wieczór.

Jak różne są zwyczaje, tak regionalnymi są także i potrawy, podawane w czasie wigilijnej wieczerzy. Niegdyś, w dawnych, dobrych czasach, uginały się stoły pod ciężarem jadła i napojów, tem więcej, że istniały wigilijne wróżby, które przepowiadały, że kto ilu potraw wigilijnych jeść nie będzie, tyle go radości w roku następnym ominie.

W zasobnych i bogatych domach musiało być conajmniej dwanaście potraw, co związane było z liczbą apostołów. Z czasem jednak ilość potraw uległa redukcji. W każdym razie u nas w Polsce na wieczerzę wigilijną składają się tylko potrawy postne, a już w żadnym domu nie może braknąć w tym dniu w jadłospisie ryb, podawanych w najrozmaitszych gatunkach i najróżnorodniej przyrządzanych.

Dawniej w Polsce zajmowano się nierzadko hodowlą ryb i prawdopodobnie konsumowano ich znacznie więcej, aniżeli dzisiaj, jak świadczą o tem rozmaite zapiski, a między innemi zachowany jadłospis z wielkopańskiej uczty u księcia Jerzego Lubomirskiego z drugiej połowy XVII wieku. Na uczcie tej podano w postnym dniu: „szczupaków głównych 100, szczupaków podgłównych 100, łokietnych 200, półmiskowych 300, karpiów ćwików 100, misnych 200, półmiskowych 500, sztokfiszu kamieni 10, minogów barył 3, łososi gdańskich 10, flader kamieni 3". W wielkich ilościach podawano zatem na stoły zarówno ryby słodkowodne, jak i morskie.



RYBY WIGILIJNE

Niemcewicz wspomina w swych pamiętnikach, że wigilja Bożego Narodzenia była wielką uroczystością. Od świtu wychodzili domowi słudzy na ryby; robiono na rzece i toniach przeręby i zapuszczano niewód. Niecierpliwie oczekiwano powrotu rybaków. Na wieczerzę składały się trzy zupy: migdałowa z rodzynkami, barszcz z uszkami, grzybami i śledziami, kutja dla służących, krążki z chrzanem, karp w podlewie czyli w sosie, szczupak z szafranem, placuszki z makiem i miodem, okoń z posiekanemi jajami i oliwą.

Czekano niecierpliwie pierwszej gwiazdy, a gdy ta ukazała się na niebie, zbierali się wszyscy wraz ze służbą i zasiadali do wieczerzy.

Na stołach możnych panów pojawiał się nierzadko łosoń, dla swych znacznych rozmiarów, a przedewszystkiem dla bardzo delikatnego i smacznego mięsa nazwany „rybą królewską". Jak wspomina ks. Kitowicz, gotowano tę rybę w winie burgundzkiem, chociaż w ten sposób przyrządzona prawdopodobnie nie była lepsza od łososia, gotowanego w wodzie. Wogóle używano do ryb wiele wina, uważając, że bez niego mogłyby one zaszkodzić zdrowiu przez swoją „przyrodzoną wilgotność". Wzmiankuje także ksiądz Kitowicz o dawnych Polakach, którzy byli silniejsi i mieli więcej ognia od jemu współczesnych, chociaż jadali ryby tylko z wody, a nie przyrządzane w bardziej wyszukany sposób.

Za czasów saskich, gdy sztuka kulinarna stała wysoko i starano się dogadzać podniebieniu, kucharze rybne obiady przyrządzali na sposób mięsnych. Jedną połowę ryb gotowali oni w kotle na smak z dodatkiem jarzyn, a w smaku tym dopiero gotowali ryby te, które miały się ukazać na półmiskach na stole. Przez to ryby te były bardzo smaczne. Niekiedy kucharze, aby lepiej popisać się znajomością sztuki kulinarnej i jej doskonałością, gotowali ryby w sosie mięsnym, a do karpia dodawali na spód słoniny, starając się czynić to tak, aby nikt tego nie zauważył. Z czasem jednak doszli oni do przekonania, że smak rybi czyni potrawy z ryb smaczniejsze, aniżeli z dodatkiem sosu mięsnego lub słoniny.

Obecnie najpospoliciej spożywaną rybą wigilijną jest karp, który najchętniej przebywa w stawach i jeziorach o dnie mulistym i porośniętym roślinami. Mięso jego jest bardzo smaczne i powszechnie lubiane. Odznacza się on wielką płodnością, samiczka bowiem może znieść nawet do pół miljona jaj, to też u niektórych ludów stał się on symbolem płodności, z czem związana jest naukowa nazwa „Cyprinus carpio", wywodząca się od Afrodyte, zwanej także Kypris, bogini żyzności i płodności.

Karpie znane już były w starożytności i opisywane przez Arystotelesa. Jakkolwiek bardzo lubiane przez Greków i Rzymian, w Europie rozpowszechniły się dopiero z chwilą wprowadzenia chrześcijaństwa, gdyż zakonnicy przenosili tę rybę ze sobą, aby zapewnić sobie postną potrawę. W ten sposób karp przedostał się aż do Rosji, a nawet zawitał na drugą półkulę do Ameryki, gdzie bardzo się rozpowszechnił i znalazł wielu chętnych konsumentów.

Karp występuje w różnych rasach, z których najcenniejszą jest bawarska i śląsko-polska. Znany jest więc karp „lustrzeń" o dużych rzadkich łuskach w odróżnieniu od drobnołuskiego lub nagiego karpia bezłuskiego, karp garbaty o ciele silnie skróconem i wyraźnym garbie na grzbiecie, czy też szeroko grzbietowy karp rasy czeskiej.

Karp żyjący dziko, jest narażony na wiele niebezpieczeństw. Inne drapieżne ryby, a przedewszystkiem szczupaki, również żaby i wodne ptaki, jak bociany i czaple, czy wreszcie wydry pożerają masowo nie tylko ikrę, ale również i młode ryby. A i człowiek z wędką staje się ich prześladowcą i wrogiem.

W hodowli, pod opieką człowieka, może się karp swobodnie rozwijać. W szeregu różnych stawów odbywa się kolejny rozwój tej ryby. W jednych stawach karpie składają tylko ikrę, którą przenosi się następnie do innych stawów, głębszych, jako t. zw. narybek. Po miesiącu maleńkie rybki przeprowadza się do stawu, w którym pozostają aż do zimy. Zimę zaś przepędzają w głębokim stawie z bieżącą wodą, o mulistem dnie i w tym tak zwanym „zimochowie" zagrzebane w mule pozostają aż do wiosny. W drugim roku swego życia przechodzą do stawu t. zw. kroczkowego, gdzie osiągają wagę kilkudziesięciu dekagramów. W roku trzecim „awansują", gdyż zostają przeniesione do stawu dla dorosłych. Karpie rosną bardzo szybko i po trzech latach troskliwej opieki człowieka osiągają wagę jednego do półtora kilograma, nabierając wartości handlowej.

Karp może być przyrządzany bardzo różnorodnie. Na wigilję podaje się go smażonego lub w sosie jako karpia po polsku, czy wreszcie karpia po królewsku.

Również smaczną i delikatną w smaku, jakkolwiek rzadziej od karpia spożywaną rybą jest szczupak — drapieżca naszych wód. Żarłoczna ta ryba dzięki chwytnym zębom, zagiętym wtył, którymi uzbrojona jest jej paszcza, chwyta inne, mniejsze od siebie ryby, nie gardząc nawet własnemi braćmi. Nieraz żarłoczność swą przypłaca szczupak życiem. Gdy chwyci bowiem zdobycz zbyt dużą i nie może jej ani połknąć ani też wypuścić, gdyż własne zęby, wbite w ciało ofiary, przytrzymują ją silnie, dławi się i ginie. Niejeden z ptaków wodnych staje się łupem szczupaka i wciągnięty przez

Dokończenie na str. 24-ej.

Oto różne gatunki ryb, które spotykamy w naszych rzekach i stawach.



„Karp królewski" jest klasyczną rybą wigilijną.

„KOCHANEK JEDNEGO WIECZORU"

PREMJERA BRUKSELSKA



P. Georges Vaxelaire Konsul gener. R. P. w Brukseli (w środku) w towarzystwie czołowych artystów, którzy kreowali jego sztukę „Kochanek jednego wieczoru". Fot. Van Parys, Bruksela.

Na prawo: Fragment parku otaczającego piękny zamek konsula Vaxelaire'a w Bioul.



Nietylko w samej Brukseli i w Belgji, ale również w Polsce znany jest dobrze szerokiemu ogółowi konsul generalny R. P., p. Georges Vaxelaire zarówno dla swej działalności filantropijnej, jak też dla wielkiej gościnności, której dał tylokrotny dowód oraz dla swych zamiłowań literackich. Zapalony miłośnik sceny, stworzył on w swoim pałacyku przy ulicy de L'Astronomie w Brukseli własny teatr, będący jedną z największych atrakcyj towarzyskich pięknej stolicy Belgji. Ale ambicje p. Vaxelaire'a jako człowieka o dużych zdolnościach nie poprzestają na wystawieniu takiego czy innego dzieła swego pióra na własnej scenie: woli on je zaprezentować szerszej publiczności, tej „lepszej", która płaci za miejsca — jak to kiedyś określił Jan Kiepura, bawiąc w Brukseli.

Właśnie ostatnio wystawił największy teatr brukselski „Galeries St. Hubert", najlepszą sztukę p. Vaxelaire'a p. t. „Kochanek jednego wieczoru" (L'Amant d'un soir).

Opowiedzmy Czytelnikom w kilku słowach jej treść.

Doktor Fournier, sława naukowa, posiada uroczą żonę i kocha ogromnie dzieci... cudze, gdyż własnych mieć nie może. Temperament swój wyładowuje w pracy, zaniedbując żonę, która nie chce, podobnie jak on, zrezygnować z życia towarzyskiego.

Przyjacielem pani i pana domu jest literat Mallet, kochający się beznadziejnie w pięknej pani Fournier. Postanawia on wkońcu szukać zapomnienia w podróżach po Afryce i przychodzi do państwa Fournier, by się pożegnać. Tegoż wieczora żona doktora czuje się przygnębiona, a mąż w dodatku dosyć niegrzecznie odmawia pójścia do teatru. Mallet tymczasem nalega, by ten ostatni jego wieczór w Europie spędzić z przyjaciółmi. Czytelnicy domyślają się reszty! Owocem tego wieczoru jest chłopiec, którego doktór Fournier uważa za swego syna.

Mija dwadzieścia lat. Mallet schorowany przybywa z Afryki, by się poddać operacji. Doktorowa Fournier pisze do niego list, by nie niszczył jej szczęścia, nie starał się wtargnąć w jej życie i nie chciał poznać swego syna. Mallet jednak pragnie wszystko wyjaśnić. W czasie wizyty oddaje on list, który „przyjaciółka jednego wieczoru" napisała i ta nierozważnie kładzie go do książki. Znajduje go mąż, który załamuje się pod wpływem tej tragedji: Syn, którego ukochał nad wszystko, nie jest jego synem.

W międzyczasie jednak Mallet dostaje ataku nabytej w Afryce choroby. Okazuje się, że trzeba go natychmiast operować, a ponieważ wszystko dzieje się na wsi, o sprowadzeniu chirurga z miasta nie może już być mowy. Jedna osoba może tylko uratować Malleta: Jest nią doktór Fournier. W umyśle jego walczy teraz obowiązek i nienawiść do tego człowieka, który złamał mu życie i zrujnował szczęście rodzinne. Zwycięża obowiązek. Lecz skąd wziąć asystenta? Może nim być tylko jego, a właściwie Malleta, syn, kończący w tym czasie medycynę.

Następuje kapitalny moment tej sztuki: operacja „kochanka jednego wieczoru", przyczem asystentem tej operacji jest syn, owoc jedynej zdrady. Doktór Fournier niesłychanie zdenerwowany, przez nieuwagę rani się lancetem, lecz operację szczęśliwie doprowadza do końca. Mallet jest uratowany, lecz rana doktora staje się coraz bardziej groźną. Następuje gangrena. W ostatnim okresie, zdawało się, jego życia, żona wyznaje mu, iż zdrada z Malletem była jedyną, której się dopuściła w swem życiu. Doktór Fournier przebacza jej, zwłaszcza, iż zdaje sobie sprawę, że ta jedyna zdrada, dała mu to, czego najbardziej pragnął w swem życiu — syna.

Premjera tej sztuki, w której wystąpili najbardziej znani aktorzy teatrów paryskich z Komedji Francuskiej i teatru „de la Porte St. Martin", zgromadziła w dniu premjery śmietankę towarzystwa brukselskiego z korpusem dyplomatycznym, członkami rządu i szefami partyj politycznych na czele. **hj.**

ZA KULISAMI ŚWIATA WIDZIALNEGO

Niedawno mieliśmy sposobność omawiania na tych łamach niektórych zjawisk i zdarzeń, które się odbywają poza granicami świata słyszalnego. Mówiliśmy o takich dźwiękach, których nie możemy słyszeć, które są nieme dla naszych uszu, które jednak istnieją. Dzisiaj z kolei omówimy niemniej ciekawe kulisy świata widzialnego. Istnieją obrazy i barwy, których oczy nasze nie widzą, istnieje światło zasadniczo podobne do tego, które nazywamy zazwyczaj światłem, a jednak niewidzialne dla nas. Oczywiście, że człowiek prymitywny, ba, nawet człowiek osiemnastego wieku pojęcia nie miał, że istnieje świat niewidzialnych kolorów. Świat dostępny dla jego zmysłów był o wiele uboższy. Tu również nauka dziewiętnastego i dwudziestego stulecia dokonała cudu. Otworzyła i udostępniła regjony, o których dawniej ledwie można było marzyć. Wiemy teraz, że nasze zmysły są naprawdę niedoskonałe, że to, co twierdziło wielu filozofów, że świat nie ogranicza się do tego co jest dostępne dla naszych zmysłów, zostało w pełni usprawiedliwione. Ten niewidzialny świat poznajemy znowu tylko za pomocą organów naszego ciała, jedynie gdy są uzbrojone i wyposażone w cały oręż nowoczesnej wiedzy. Niemniej jednak można skromnie powiedzieć, że i dziś jeszcze nie znamy całej rzeczywistości i wszystkich jej tajemnic.

Jeśli prawdą jest, że światło to tylko pewne niesłychanie szybkie drgania, które rozchodzą się w eterze (tajemniczy, hipotetyczny substrat wypełniający całą przestrzeń, ostatnio znajdujący się pod obstrzałem nowoczesnej fizyki) z szybkością 300.000 km na sekundę, to możemy powiedzieć, że istnieje bardzo wiele rodzajów tych drgań. Każde z nich charakteryzuje między innemi jego barwa. Mamy więc, światło żółte, zielone czerwone itd. Ilość nazw oznaczających zabarwienie jest niestety zbyt szczupła, aby określić wszystkie istniejące rodzaje drgań świetlnych. Nazwy te są ponadto bardzo niedokładne. Dlatego przyjęto inną charakterystykę różnych rodzajów drgań świetlnych, zupełnie ścisłą i wyrażalną w liczbach, do czego zawsze dąży nauka. Tą charakterystyką jest długość fali, którą rozchodzi się w przestrzeni dany rodzaj drgań. Światło np. fjoletowe (1 mikromilimetr równa się jednej miljonowej części milimetra), niebieskie 460, zielone 500, żółte 560, pomarańczowe 600, a czerwone wreszcie ok. 720 mikromilimetrów. Wyliczyliśmy tu najważniejsze rodzaje drgań świetlnych, całą tęczę, która powstaje, gdy światło białe, które przecież jest tylko mieszaniną świateł różnobarwnych, rozszczepimy na jego składniki. W tych granicach od światła czerwonego do fjoletowego mieści się cały świat widzialny dla naszych oczu. Każda barwa widzialna znajdywać się musi między temi granicami, czyli musi mieć długość fali zawartą między 400 a 720 mikromilimetrami. Krótkie fale cechują fjoletowy kraniec widma słonecznego, długie zaś jego brzeg czerwony.

Ten trochę teoretyczny wstęp był konieczny, aby zrozumieć co mamy na myśli, mówiąc o świetle niewidzialnem. Jasnem jest, że światło, którego długość fali jest krótsza niż 400 lub dłuższa niż 720 mikromilimetrów, będzie już dla naszych oczu niewidzialne, mimo, że jest światłem i wykazuje wszelkie cechy światła widzialnego, prócz... jego widzialności! W pierwszym wypadku mówimy o promieniowaniu ultrafiołkowem o coraz to krótszej fali, w drugim zaś o świetle podczerwonem, odznaczającem się falą dłuższą aniżeli widzialne światło czerwone. My tego światła nie widzimy, ale napewno istnieją stworzenia, których organy wzroku reagują także i na to światło, widząc je po „ciemku".

Możnaby zapytać, skąd wiemy o tych kulisach świata widzialnego, skoro jest zamknięty dla naszych oczu? Otóż wiemy o świecie promieniowania podczerwonego i pozafjołkowego dużo rzeczy, gdyż promieniowanie to oddziaływuje w wielu wypadkach na nasze organy zmysłowe. Tak np. promieniowanie podczerwone nie działając na nasz zmysł wzroku, działa na nasz zmysł czucia, wywołując wrażenie ciepła. Również i promieniowanie ultrafjołkowe, zawarte np. w świetle słonecznem działa na nasz organizm, powodując np. czerwienienie skóry i jej opalanie. Przecież lampa kwarcowa i inne tzw. „sztuczne słońca", to przyrządy, służące do wytwarzania światła niewidzialnego, w postaci promieniowania ultrafjołkowego, mającego wybitny wpływ fizjologiczny na nasz organizm.

Nie tylko zapomocą naszych organów dowiadujemy się o istnieniu światła niewidzialnego. Możemy widzieć przedmioty oświetlone światłem niewidzialnem. Ale tu wychodzi na jaw pewna sprzeczność: jakto, przecież mowa o świetle „niewidzialnem", więc jak możemy tu coś zobaczyć? A jednak! Niektóre ciała mają tę właściwość, że gdy je w ciemności, a więc w braku jakiegokolwiek światła widzialnego, oświetlimy promieniami ultrafjołkowemi, wydobywającemi się np. z lampy kwarcowej, to zachowują się tak, jakgdybyśmy je oświetlili światłem zwyczajnem. Stają się widoczne, mają pewne zabarwienie, mimo, że przed lampą kwarcowa znajdował się filter, który starannie zatrzymywał wszelkie światło widzialne tejże lampy, przepuszczając jedynie promienie ultrafjołkowe, które normalnie padając na jakiś przedmiot, nie wywołują wrażenia świetlnego. Pewne więc przedmioty świecą w ciemności, tj. gdy na nie pada światło ultrafjołkowe. Takie zjawisko nazywamy „fluorescencją". Szczególnie silną fluorescencję wykazują przedmioty powleczone platynocjankiem barowym. Ale jest całe mnóstwo innych ciał, świecących w ciemności, czyli fluoryzujących pod wpływem światła ultrafjołkowego.

Naszej fantazji nasuwają się możliwości zastosowania takiego niewidzialnego światła. Przecież to jest dosłownie „bajeczny" sposób dekoracji ścian: można na ścianach tych wykonać farbą, zawierającą składniki czułe na światło ultrafjołkowe najrozmaitsze rysunki i malowidła, a w ciemności puścić na ścianę strumień niewidzialnego światła ultrafjołkowego. Wtedy zajaśnieją tylko te miejsca, które zostały powleczone tym preparatem, czułym na światło ultrafjołkowe. Powiedzmy jeszcze, że różne preparaty fluoryzują w różnych kolorach pod wpływem tego samego światła ultrafjołkowego. Każdy zrozumie, jaka bogata istnieje tu skala możliwości stworzenia fantastycznych wprost dekoracyj. Pomysł ten został też już wyzyskany, nietylko dla dekoracji pałaców wielu miljonerów amerykańskich, ale też w teatrach i kinach, a także w wytwórniach filmowych.

Także i w laboratorjach badawczych oraz w przemyśle czyni się użytek z tej właściwości promieni ultrafjołkowych wywoływania fluorescencji ,czyli świecenia w ciemności. Jest bowiem rzeczą ciekawą, że rozmaite t. zw. zanieczyszczenia fluoryzują zupełnie inaczej, aniżeli właściwy badany materjał. Podajmy kilka prostych przykładów: ropy naftowe różnego pochodzenia fluoryzują w różnych barwach zależnie od pochodzenia, amerykańska i rumuńska nafta świeci zielono, turecka a raczej kaukaska brązowo lub żółtawo. Inaczej znowu nafta z Texas lub z Kalifornji. Świeży smar olejowy do silników fluoryzuje niezwykle silnie, w miarę zaś zużycia fluorescencja jego stopniowo zanika. Olej rycynowy wydaje światło niebieskie, olej lniany znowu przyjmuje zabarwienie żółtawo-zielone. gdy jest w stanie surowym, a niebieskie, gdy jest rafinowany Rozmaite żywice, woski, rozpuszczalniki, chemikalja mają swoją charakterystyczną fluorescencję. Inaczej zabarwia się mąka pszeniczna, inaczej kartoflana, jeszcze inaczej mączka ryżowa. Świeże mleko otrzymuje żółte zabarwienie. nieświeże wygląda niebieskawo. Tak samo można rozpoznać zanieczyszczenie lub stan świeżości jaj i tłuszczów, tak też bada się piwo, cukier itd W niektórych kopalniach drogocennych minerałów np. uranowych, górnicy zaopatrzeni są w lampy wydające niewidzialne światło ultrafjołkowe. Niesamowity musi być widok, gdy w zupełnie ciemnym chodniku kopalni pod wpływem światła ultrafjołkowego ściany zaczynają świecić tajemniczem światełkiem, zdradzając w ten sposób odrazu, że kryją w sobie drogocenne minerały Ile to oszczędza mozolnej ciężkiej pracy górnikom! Taksamo w przemyśle tekstylnym papierniczym itd. duże zastosowanie znalazły lampy wysyłające niewidzialne światło ultrafjołkowe. Stały się one jednym z najważniejszych środków analitycznych, przyczyniając się do wykrycia sfałszowanych podpisów, do łatwiejszego odczytywania palimpsestów. Taksamo i autentyczność obrazów można w ten sposób stwierdzić.

A to wszystko dzięki temu, że w niektórych wypadkach światło ultrafjołkowe potrafi się zamienić na światło o fali dłuższej stając się przez to widzialne dla oka. Na tem właśnie polega cała fluorescencja.

Prócz tego jednak jeszcze w inny sposób zdradza światło swoją obecność. Wcześnie już zauważono, że nawet zwyczajna płyta fotograficzna przewyższa pod tym względem nasze oko, że jest wrażliwa, i to w silnym stopniu, na niewidzialne dla nas promienie podczerwone. Przedmioty pozornie ciemne działają na płytę jakgdyby były oświetlone. Zwłaszcza gdy nauczono się wyrabiać takie klisze fotograficzne, których warstwa światłoczuła znajdowała się między dwiema warstwami zawierającemi masę silnie fluoryzującą. Wtedy można już fotografować wprost w ciemności. Wystarczy postawić dany przedmiot, który chcemy fotografować w zasięgu promieniowania ultrafjołkowego, wtedy można otrzymać normalną jego fotografję. Jakie tu możliwości otwierają się dla dowcipnych fotoamatorów!

Dotychczas mówiliśmy tylko o tem, jak dla naszych oczu przedmioty oświetlone promieniami ultrafjołkowemi stają się widzialne.

Niemniej ciekawe są sprawy związane z przeciwną stroną kulis świata widzialnego, to jest z promieniami podczerwonemi. Tu nie możemy zaprezentować naszym czytelnikom takich efektów, jak fluorescencja, ale i tu są ciekawe rzeczy. Potrzeba było długiego czasu, nim nauczono się fotografować przedmioty oświetlone promieniami podczerwonemi.

Ale wkońcu udało się stworzyć takie uczulacze, dzięki którym emulsja fotograficzna stała się wrażliwą nie tylko na wszystkie barwy światła widzialnego, ale nawet i na światło podczerwone. Otworzył się tu raj dla fotografów: światło podczerwone ma tę ciekawą cechę właściwości, że przenika znakomicie przez grube warstwy nawet zamglonego powietrza. Dzięki temu można dokonywać zdjęć nawet w czasie mgły, oczywiście niezbyt gęstej. Fotografja lotnicza rozsze-

Dokończenie na str. 24-ej.

KOKIETERJA...



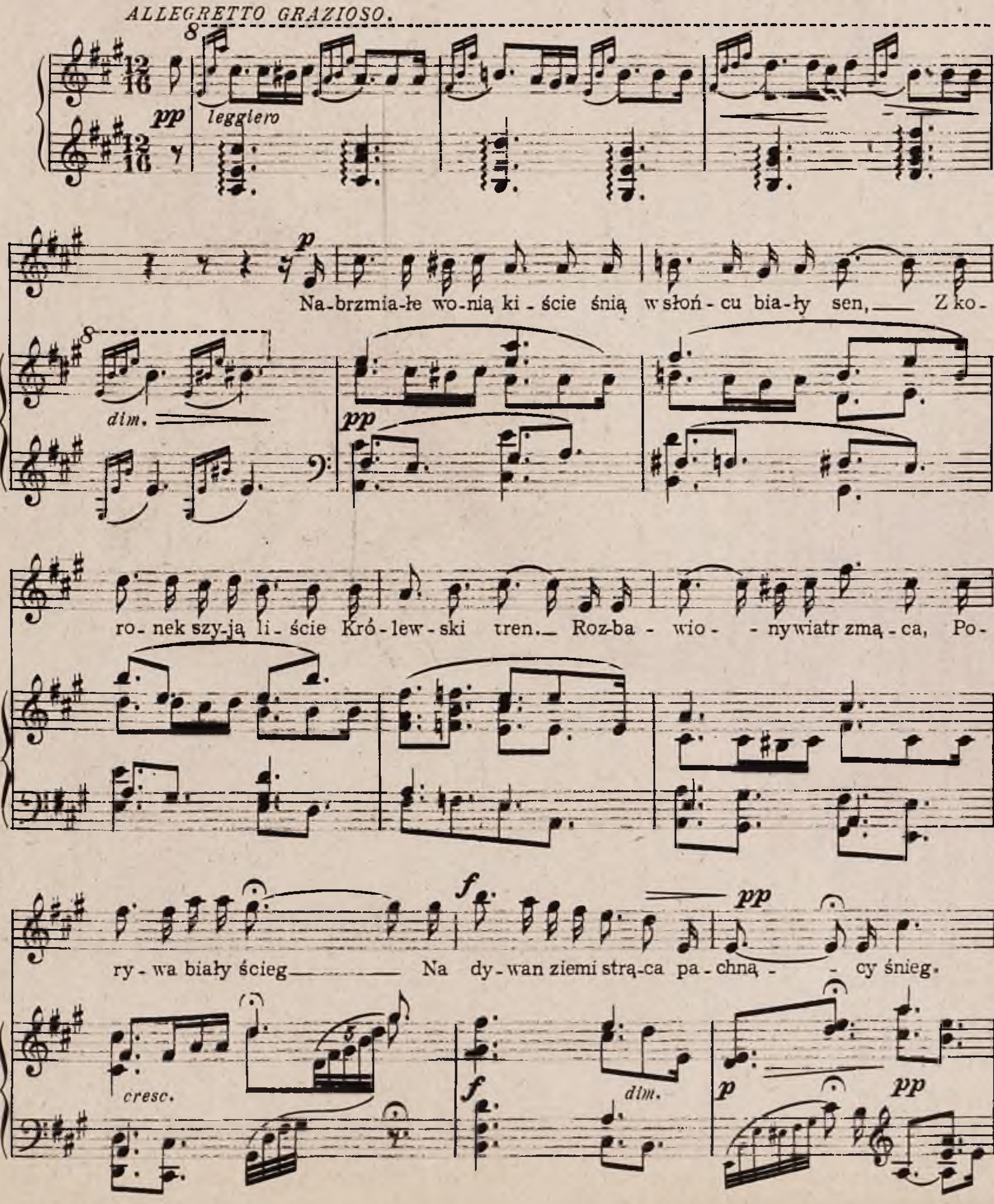
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

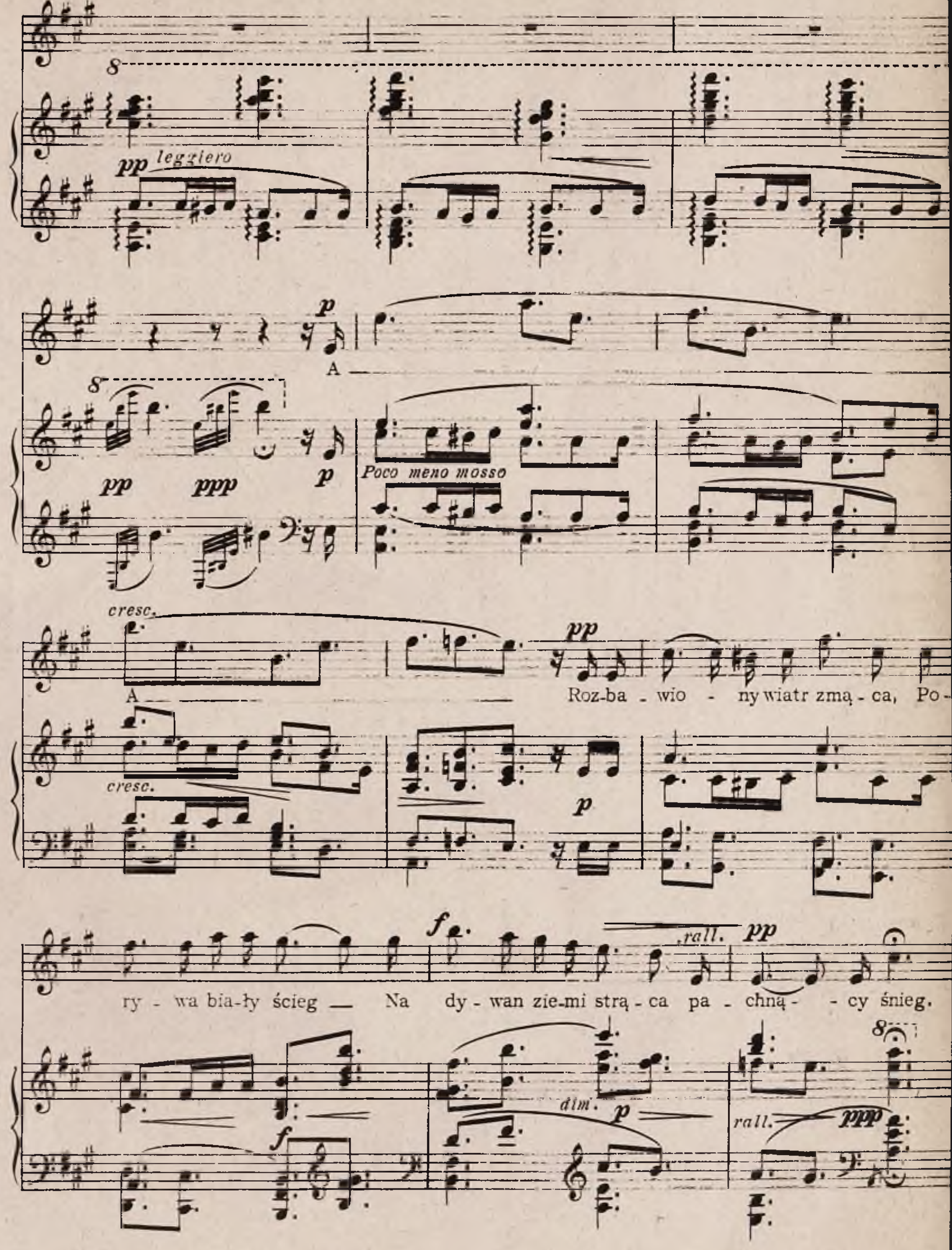
KWITNĄCE AKACJE

PIEŚŃ

SŁOWA:
MIECZYSŁAW ZIELENKIEWICZ

MUZYKA:
ADAM HARASOWSKI





LUX NA TROPIE

PIOTR FABRIZIUS *TŁUM. A. S.* **NOWELA**

Lux wiedział dokładnie, że z jego panem nie było coś w porządku. Odkąd mała, jasnowłosa pani, która przed odejściem dawała mu zawsze kawałek cukru, już więcej nie przyszła, pan jego zmienił się zupełnie. Biegał tam i zpowrotem, bębnił palcami po stole i Lux byłby się stał nerwowym psem, gdyby już nie znał tego zachowania się swego pana. To się zdarzało mniej więcej co dwa miesiące.

Po dwóch dniach pies był zdania, że już dosyć tego smutku po utraconej kobiecie. Wsunął się cicho do pokoju, przyniósł kaganiec, położył swój pysk na wyciągniętej dłoni swego pana i spojrzał na niego wiernie i serdecznie.

— Tak — rzekł Henryk Rapp — masz zupełną rację, chodźmy na spacer. Kobiety nie są tego warte...

Lux wiedział, że kryzys minął. Henryk mimo, iż doszedł do wniosku, jak lekceważenia godne są kobiety, nałożył wesoło na bakier kapelusz. Pan i pies wyszli na miasto w oczekiwaniu jakiejś przygody.

Zdarzyła się ona najpierw Luxowi. Z głośnem szczekaniem zameldował znalezienie rękawiczki.

Była to damska skórkowa rękawiczka. Wydawała lekki, miły zapach.

Właścicielka rękawiczki musiała mieć małe ręce: to było pewne. Pozatem mogła być młodą lub starą, ładną lub brzydką, blondynką, ciemną z piegami lub z zadartym noskiem. Henryk pobudzony zapachem rękawiczki postanowił sobie wyobrazić, że jest młodą, zdrową, ładną i chciał rękawiczkę schować.

Ale Lux głośnem szczekaniem upomniał się o znaleźne. To Henryka naprowadziło na pewien pomysł. — Stój! — zawołał — naco ja ciebie kazałem przez dwa miesiące tresować na psa policyjnego? — Potrzymał mu przed nosem rękawiczkę i rozkazał: Szukaj! pokaż, co umiesz!

Gdy Lux obrał właściwy kierunek, puścił się jak strzała. Henrykowi trudno było nadążyć za nim. Pies z łbem spuszczonym ku ziemi prowadził go daleko przez różne ulice i zatrzymał się przed eleganckim domem.

— Nieźle — otaksował Henryk i podążył za psem na czwarte piętro, gdzie zwierzę, szczekając, zatrzymało się przed drzwiami.

„Joanna von Diederlein" — czytał Henryk napis na drzwiach — mam szczęście! Pochodzi z dobrego domu!

Zadzwonił. Dopiero po paru minutach otworzył pan w średnim wieku, o dystyngowanym wyglądzie, chociaż miał na sobie tylko piżamę. Czy był to ojcie, brat, czy też mąż?

— Czy jest pani w domu? — zapytał dyplomatycznie Henryk.

— Jaka pani?

— Proszę wybaczyć, mam bardzo słabą pamięć. Chwilowo zapomniałem nazwiska tej pani.

Twarz pana w piżamie stała się czerwoną.

— Odkąd umarła moja żona, od sześciu lat nie mieszka tu wogóle żadna pani, czy zrozumiano? I jeżeli pan w tej chwili się stąd nie wyniesie, przeżyje pan coś, co pomimo złej pamięci długo pamiętać będzie, poczem przekręcił kluczem w zamku.

Henryk spojrzał zdumiony na swego psa, który z głową przechyloną na bok i podniesioną łapą patrzał na niego wyczekująco.

— No, ale to się zupełnie nie udało! — zamruczał. — Zdaje się, że nadaremnie wydałem pieniądze na tresurę.

Lux nie mógł znieść tego zarzutu. Na ulicy zaczął znowu węszyć ze znajomością rzeczy: oddalił się parę kroków i obrócił się w oczekiwaniu na swego pana. Zrozumiał on, że owa pani wyszła od Diederleina i że pewnie poszła do domu. Udali się więc na dalsze poszukiwania.

Pies zaprowadził swego pana do modnego czynszowego domu, przed drzwi mieszkania z napisem: „Józef Tenner".

„Tutaj więc mieszka ona" — myślał Henryk i odważnie zapukał.

Drzwi otworzono ostrożnie. W szparze ukazał się młody człowiek, nieśmiało wyglądający, w spodniach, w koszuli smokingowej, ale bez kołnierzyka i krawatki.

— Nie mam ani grosza w domu — zaręczał młodzieniec.

— Nie jestem żadnym inkasentem — powiedział dobrotliwie Henryk — przyszedłem z Urzędu Statystycznego. — Wyciągnął papier i ołówek. — Czy mógłby mi pan objaśnić, kto w tem mieszkaniu: a) istotnie zamieszkuje, b) tymczasowo przebywa i to po pierwsze osoby rodzaju męskiego i po drugie osoby rodzaju żeńskiego, ich nazwiska i imiona, zatrudnienie i wiek.

— Z największą przyjemnością — odrzekł młodzieniec — nazywam się Józef Tenner, jestem kawalerem, lat 28 i zamieszkuję od dwóch lat całkiem sam to mieszkanie.

Henryk osłupiał.

— No, Lux — zwrócił się do psa, gdy drzwi za panem Tennerem się zamknęły — co masz teraz na swoje usprawiedliwienie?

— Hau, hau — odszczeknął pies i niecierpliwie pociągnął za smycz.

Henryk doszedł do przekonania, że właścicielka rękawiczki opuściła też pana Tennera i udała się do innego domu, przed którym pies przystanął.

Pokojówka otworzyła drzwi. Henryk zapytał o panią domu.

— Panna Karolina właśnie wróciła — powiedziała dziewczyna i poprowadziła go do eleganckiego salonu, gdzie siedemdziesięcioletnia matrona stała koło stołu.

Drżąca, opierając się na lasce, przyglądała się nieznajomemu gościowi.

— Jestem panna Karolina — powiedziała — czem mogę służyć?

Henryk uważał za najlepsze przyznać się, że znalazł damską rękawiczkę i z ciekawości kazał się poprowadzić psu do jej właścicielki.

Panna Karolina obejrzała „corpus delicti".

— Do mnie ona nie należy — oświadczyła — ale dopiero co do domu powróciłam, może mój siostrzeniec miał odwiedziny, zaraz się go o to zapytam.

Pokój siostrzeńca był zamknięty. Dochodził stamtąd jakiś hałas.

— Proszę szanowną panią — błagał Henryk — ja nie chcę nikomu robić nieprzyjemności.

Ale już było zapóźno. Siostrzeniec wetknął głowę przez drzwi i zaręczał rozczochrany i w szlafroku, że nic nie wie o rękawiczce.

Henryk przeprosił i tak szybko ulotnił się z pokoju, że panna Karolina troskliwie przerachowała srebro, które w salonie stało za gablotką.

Lux jednak nie dał za wygraną i w imię raz powziętego obowiązku biegł dalej za tropem. Na rogach ulic kręcił się trochę bezradnie, patrzał na swego pana, jakby szukając w nim pomocy, potem, gdy odnalazł właściwy kierunek, szczekał radośnie. Henryk postępował za nim ze zwrastającem zaciekawieniem.

Tym razem musiał iść dosyć daleko, bo aż na przedmieście. Lux przystanął szczekając przed jednopiętrowym domem. Młoda. zaledwie dwudziestoletnia dziewczyna otworzyła drzwi. Lux rzucił się radośnie ku niej. Henryk spojrzał na nią: była to ładna dziewczyna o świeżych, zaróżowionych policzkach. Henryk pokazał rękawiczkę:

— Mam nadzieję, że należy do pani?

Dziewczyna zaczerwieniła się z radości.

— Tak — powiedziała — i wyciągnęła po nią rękę.

— Ciężki dzień miałem dzisiaj! — mówił dalej Henryk.

— O tak — rzekła dziewczyna i pogłaskała Luxa, który przyjmował te pieszczoty jako zupełnie mu należne za pełne trudu obowiązki, które dobrze wykonał.

— Chciałam właśnie poszukać tej rękawiczki i pewnie z trudem byłabym ją odnalazła, gdyż już doprawdy nie wiem, gdzie dzisiaj byłam. Pomagam mej matce w przedsiębiorstwie i zanosiłam bieliznę trzem panom. Moja matka posiada chemiczną pralnię.

Dokończenie ze str. 18-tej.
niego pod wodę znajduje w jej głębi śmierć. Ryba ta może osiągnąć wielkość nawet dwóch metrów o wadze 35 kilogramów. w hodowli jednak trzyma się osobniki mniejsze. Nieraz hodowcy wykorzystują szczupaki w gospodarstwach karpiowych do usuwania mniejszych rybek, które się przypadkowo do hodowli dostały i zabierają pożywienie, przeznaczone dla tuczenia karpi.

Szlachetnym i ulubionym gatunkiem ryby jest sandacz, który dzięki wydłużonej paszczy oraz zębom przypomina szczupaka. Na szarem, wydłużonem ciele rysują się wyraźnie niebieskie smugi i odcinają czerwonawe płetwy. W Polsce sandacze żyją w Wiśle oraz w jej dopływach. W dużych, czystych i głębokich stawach hoduje się je jako ryby użytkowe. Hodowla jednak jest bardzo trudna. Do stołu podaje się je w różnej formie: z jajami, w galarecie lub w sosie majonezowym.

Bliski krewniak sandacza — okoń, zwany też okuniem, w dawniejszych czasach cieszył się uznaniem dla smacznego i tłustego mięsa. Ponieważ jednak jest bardzo ościsty, dzisiaj został zastąpiony przez innych przedstawicieli rybiego świata.

Gatunki wymienionych ryb nie wyczerpują całkowicie listy podawanych w czasie wigilijnej wieczerzy. Gdzieniegdzie pojawiają się na stołach liny, leszcze, brzany, karasie i wiele jeszcze innych, a często zastępują je nawet i skromne śledzie smażone, opiekane lub marynowane, czy wreszcie jakieś ryby wędzone.

Zarówno więc rzeki nasze, stawy i jeziora, jak też i morze dostarczają na wigilię mnóstwo swoich mieszkańców.

Z. M.



Dokończenie ze str. 20-tej.
rzyła znacznie zakres jej zastosowania: słynny lotnik stratosferyczny Stevens, który niedawno bawił w Polsce, zdołał dokonać z wysokości 22.000 metrów zdjęć, na których pierwszy raz w dziejach ludzkości widać było kulisty kształt ziemi. Jedynie bowiem zakrzywienie globu ziemskiego stanowiło naturalną granicę rozległości tego zdjęcia.

Oczywiście, że przy fotografji podczerwonej musi się używać filtra czerwonego lub nawet czarnego, nieprzepuszczającego zwykłego światła. Takie zdjęcia podczas mgły mają duże znaczenie dla okrętów, które narażone są na katastrofy z powodu zbyt małej widzialności. Ważne jest to także dla astronomów, szczególnie przy zdejmowaniu gwiazd o małej jasności. Do słynnego laboratorjum na Górze Wilsona w Ameryce przywozi się samolotem co kilka dni klisze czułe na światło podczerwone w specjalnem opakowaniu, zawierającem t. zw. „suchy lód". Klisze te nie mogą bowiem zbyt długo leżeć i trzymają się najlepiej w niskiej temperaturze.

Promieniowania podczerwonego nie brak też w świetle słonecznem, nie brak go również w oświetleniu sztucznem. Wystarczy przecież ogrzać jakiś przedmiot do 400 stopni, aby zaczął sam „świecić" światłem niewidzialnem, podczerwonem. W ten sposób np. sfotografowano po ciemku rozgrzane żelazko w jego własnem świetle, oczywiście zapomocą kliszy czułej na podczerwień i przy użyciu odpowiedniego filtra. Ponieważ skóra ludzka przepuszcza promienie podczerwone, tak samo zresztą jak pancerz chitynowy u owadów, przeto jasnem jest, że można sfotografować sieć naczyniek krwionośnych i użyć tego zdjęcia do celów djagnostycznych,

Ciekawem jest, że zieleń roślinna wypada na fotografji podczerwonej zupełnie biało. W ten sposób np. można w lecie otrzymać na fotografji krajobraz zupełnie zimowy. Jest to jeden z dobrych tricków kinematograficznych. Aktorów ubiera się np. w futra na tle drzew lub trawnika zielonego i fotografuje z odpowiednim filtrem, przepuszczającym tylko podczerwień. Zielone rośliny wyglądają przytem inaczej niż te, w których krążą soki. Możność „zdemaskowania" zieleni roślinnej zapomocą fotografji podczerwonej wyzyskuje się oczywiście dla celów wojskowych. Można w ten sposób zdemaskować ważne objekty wojskowe, które dla celów ochrony zamaskowano zielonemi krzakami lub liśćmi. Jeszcze inny szczegół wyzyskuje się przy zdjęciach podczerwonych: oto bezchmurne błękitne niebo wypada na takiem zdjęciu zupełnie czarno. W ten sposób można za dnia otrzymać rzekomo nocne zdjęcia kinematograficzne, oczywiście teren musi być pozbawiony wszelkiej zieleni roślinnej. Najpowszechniej jednak chyba korzystać będą fotografowie ze zwykłych zdjęć podczerwonych, tj. przy użyciu odpowiedniego filtra i klisz czułych na podczerwień.

Gdy zaglądniemy za kulisy naszego zwykłego, kolorowego światła, ujawnią się ciekawe szczegóły. Wchodzimy w świat bajki, gdzie zieleń jest biała, czerń świecąca, a niebo nawet w dzień czarne! **Inż. J. A.**





Grace Moore śpiewa...

WYWIAD z GWIAZDĄ ★

Warszawa umie fetować swoich gości. Mogą coś o tem powiedzieć prześliczne Japoneczki z Takarazuka. Wzruszona do głębi przyjęciem opuszczała Warszawę czarująca gwiazda opery i filmu, Grace Moore. Oto jej słowa na ten temat:

— Tak mnie tu w Warszawie gościnnie i gorąco przyjmowano, że zapragnęłam się czemś odwdzięczyć za słynną staropolską gościnność. Dlatego też wyraziłam zgodę na propozycję, którą odrzuciłabym z pewnością w innym wypadku. Ale wam, Polakom, nie mogłam niczego odmówić — dodała z tajemniczym uśmieszkiem, coraz bardziej mnie intrygując

Wreszcie, chwilkę jeszcze ociągając się, rzekła:

— Zostałam polską „zegarynką"... Nagrałam płyty, mówiące godziny i minuty...

— Jakto? Po polsku?

— Nie, po angielsku.

— Więc dlaczego mianuje się pani „polską zegarynką"?

— Bo mówiłam dla „speaking-clock" („mówiącego zegara") polskiej produkcji.

— Nie wiedziałem nawet, że taki istnieje. Aparat, zainstalowany w Warszawie i kilku innych miastach polskich, informujący telefonicznie, która godzina, jest wyrobu szwedzkiego, a jedynie tekst nagrany został po polsku.

— Więc ja pana poinformuję, że technicy polscy skonstruowali podobny aparat i chcą go sprzedawać zagranicą. Model takiego aparatu zostanie wystawiony przez Państwowy Instytut Telekomunikacyjny na wystawie nowojorskiej w pawilonie polskim. Ponieważ chodzi o pozyskanie rynku amerykańskiego, trzeba było nagrać godziny i minuty po angielsku. Oddawna już poszukiwano kogoś ze specjalnie fonogenicznym głosem i dobrą wymową. Gdy się dowiedziano, że ja przybywam do Polski, postanowiono zwrócić się do mnie z prośbą o nagranie tych płyt, zwłaszcza, że mam podobno głos idealnie fonogeniczny. Nie chcę się chwalić, ale tak mi powiedziano w Hollywood. Nad moim głosem dokonywano w Ameryce specjalnych studjów. Było mi bardzo miło spełnić prośbę Państwowego Instytutu Telekomunikacyjnego. Uczyniłam to w dzień mego odjazdu, oczywiście już po koncercie, bo przed koncertem mam zwyczaj przez cały dzień niemal zupełnie się nie odzywać, by nie nadwyrężać gardła. Nagrałam więc 12 „godzin" i 60 „minut". Cała „operacja" nie trwała nawet godziny, bo poszczególne kombinacje dadzą się uzyskać przez odpowiednie połączenie tekstów.

Dodam od siebie, że Grace Moore nie chciała przyjąć za to żadnego honorarjum, pragnąc, by to był właśnie ów rewanż za życzliwe i entuzjastyczne przyjęcie. Powiedziała mi też:

— Mojem drugiem miłem wspomnieniem z pobytu w Warszawie będzie raut, jaki wydał na moją cześć nasz czarujący ambasador Drexel Biddle ze swą ujmującą małżonką. Był to przecież mój wieczór urodzinowy. Od ośmiu lat spędzałam go jednakowo. Występ w „Metropolitan Opera House", a potem huczny festyn urodzinowy, jaki wydawałam w największej sali Nowego Jorku. Tym razem odstąpiłam mój wieczór urodzinowy Warszawie. Zgodnie z tradycją — byłam na posterunku artystycznym — śpiewałam. O tem wiedziałam zgóry. I choć nie u siebie, ale zato w Polsce, dla której oddawna żywiłam wiele sympatji; mam też moc serdecznych przyjaciół wśród Polaków amerykańskich. Myślałam sobie tylko, co się stanie z uroczystością urodzinową. Przykroby mi było obejść się bez niej. Mogłabym, oczywiście też wynająć jakąś wielką salę — ale kogobym zaprosiła? Więc jestem niezmiernie wdzięczna ambasadorostwu Biddle, że wyprawili mi takie wspaniałe urodziny. I powiem szczerze, że na żadnych z nich nie była jeszcze taka *„brillante assistance"*. Bo i rząd i dyplomacja i arystokracja. Co chwila przedstawiano mi: książę... hrabina... A każdy mówił mi naszym amerykańskim zwyczajem: „Many happy returns". Jednej rzeczy nie było. Według naszego zwyczaju podaje się zawsze solenizantowi lub solenizantce tort, a na nim tyle zapalonych świeczek, ile się kończy lat w tym właśnie dniu. Dla solenizantek bywa to niekiedy kłopotliwe. Dla mnie nie byłoby. Ale nie chciano mnie — zapewne przez dyskrecję — zapytywać, ile świeczek postawić. Ja zaś mogę panu powiedzieć, że skończyłam tego wieczoru tyle lat, ile państw było reprezentowanych na tym raucie. Wiem zaś ile było, bo mi powiedziano. Teraz niech pan obliczy...

— To nieważne, proszę pani, bo każda kobieta, jak wiadomo, ma tyle lat, na ile wygląda...

— O, to mojem zdaniem, niezbyt pewne kryterjum. Zależy wiele od tego, jak sobie kobieta „zrobi" twarz, jak się ubierze, czy dba o figurę i jaki prowadzi tryb życia. Np. o mnie może pan mieć zupełnie błędne pojęcie. Gdy mnie pan ujrzał po raz pierwszy zaraz po wyjściu z wagonu, byłam jeszcze w charakteryzacji filmowej, bo pociąg warszawski odjeżdżał z Paryża akurat 20 minut po momencie, gdy ukończyłam moje dwumiesięczne zdjęcia do filmu „Louise". Nie miałam czasu nawet na rozcharakteryzowanie się. Ubieram się nie według mody, lecz wedle upodobania. Zresztą, nic bardziej kapryśnego, zmiennego i zawodnego, niż moda. Mój film „Louise" rozgrywa się w r. 1885. Raz zrobiłam taki „kawał": Poszłam na dancing do Maxime'a w mojej toalecie filmowej z przed 50 lat i... bynajmniej się nie wyróżniałam. Najnowsze kreacje były niemal identyczne. Wreszcie — nigdy nie dbam o „linję". Jem, „ile się zmieści", a jestem wielką smakoszką. Czy pan wie, że wkrótce ukaże się moja książka... kucharska? Będzie tam moc przepisów mojego pomysłu. Polecam, zwłaszcza, kurczęta po hiszpańsku, które robię specjalnie dla mojego męża Hiszpana, a przepis mam od jego matki. Jestem z nim szczęśliwa od 7 lat. Nie zamierzam nigdy się rozwodzić. Słowem, jak pan widzi, nie mam w sobie nic z typowej amerykańskiej „gwiazdy" filmowej... Chcę bowiem zawsze być tylko... sobą...

H.

10 minut
GIMNASTYKI PORANNEJ

Gdybym zapytała Czytelniczki Asa, nawet te, które uprawiają z zapałem codzienną gimnastykę poranną, czy znają funkcje swego organizmu, usłyszałabym co najmniej 50% odpowiedzi przeczących...

A tymczasem kto chce mieć organizm zdrowy i funkcjonujący bez zarzutu całe życie, musi poznać tę „maszynę“, aby sprawować nad nią czujną i stałą kontrolę, która dopiero zapewnia jej trwałość. Nie wystarczą bezmyślne ćwiczenia gimnastyczne czy uprawianie sportów, trzeba znać wszystkie mięśnie i organa, trzeba rozróżnić ich czynności i opanowywać funkcje mięśni, uniezależniając jedne od drugich.

Tymczasem zajmiemy się mięśniami, umieszczonymi poniżej pleców, w okolicy krzyżów. Są one bardzo ważne ze względu na linję brzucha i miednicy. Zarówno sam kręgosłup jak i jego kręgi w tem miejscu i otaczające je mięśnie, są w codziennem życiu mało „używane“. Prowadzimy przecież przeważnie tryb życia siedzący i stojący, przy którym zaniedbanie krzyżów są na porządku dziennym a dolegliwości z tego wynikające, zdarzają się bardzo często.

Podajemy cykl ćwiczeń, które mają na celu „rozruszanie“ tej części ciała.

Aby uczynić kręgi krzyżowe jak najbardziej elastyczne i zdolne do wykonywania poruszeń w różne strony, trzeba, aby przedewszystkiem skóra tej części ciała była podatna, miękka i giętka. W tym celu stosujemy masaż. Zginamy się do niego nieco ku tyłowi i dwoma palcami obu rąk staramy się ujmować skórę drobnymi uchwytami, jak gdyby odrywając ją od kości. Nie trzeba się przytem zniechęcać nieudałemi pierwszemi próbami, bo masaż ten nie należy bynajmniej do rzeczy niemożliwych a jest bardzo skuteczny.

Ćwiczenie 1: Klękamy na podłodze i opieramy się na niej dłońmi. W tej pozycji staramy się opuszczać ku dołowi krzyże i podnosimy je z powrotem do poziomu. Powtórzyć to kilkakrotnie a dla lepszej kontroli można sobie położyć książkę na krzyżach.

Ćwiczenie 2: Stanąć w szerokim rozkroku z ramionami skrzyżowanemi na piersiach. W tej pozycji pochylać się zwolna ku przodowi, ale nie jednym rzutem, lecz drobnymi skłonami, coraz niżej i niżej. Po dłuższym czasie uprawiania tego ćwiczenia, dochodzi się do takiej wprawy, że łokcie dotykają podłogi.

Ćwiczenie 3: W pozycji leżącej z ramionami wzdłuż ciała, podnosimy cały korpus i równocześnie jedną nogę, dążąc do tego, aby końce palców rąk dotykały palców podniesionej nogi. Następnym ruchem wracamy do pozycji leżącej i zaraz podnosimy się znowu, unosząc drugą nogę. Powtarzamy to ćwiczenie kilka razy, nie odpoczywając w międzyczasie, lecz ruchem wahadłowym unosząc się i opadając.

Ćwiczenie 4: W pozycji leżącej ze skurczonemi nogami i ramionami wyciągniętemi poza głowę, sprawdzamy pozycję bacząc, aby krzyże były jakby przylepione do podłogi. Ćwiczenie polega na powolnem wyprostowywaniu nóg i kurczeniu ich z powrotem, przyczem krzyże nie mogą ani na chwilę odstawać od podłogi. Aby to ćwiczenie tem lepiej wykonać, dobrze jest zamknąć oczy i skoncentrować całą uwagę na dokładnem wykonaniu.

Ćwiczenie 5: Stajemy w rozkroku i w tej pozycji przechylamy się w tył, poczem zwolna uginamy nieco kolana. Następnie kolejno obie ręce staramy się zbliżyć ku łydce danej nogi. Nie wolno jednak wychylić się z zasadniczego skłonu w tył, bo przy skłonie w bok cała wartość ćwiczenia zostałaby przekreślona. Po pięciokrotnem przygięciu się ku prawej i lewej nodze, przechodzimy odrazu do następnego ćwiczenia, które stanowi wyrównanie pracy mięśni omawianego ćwiczenia.

Ćwiczenie 6: Stanąwszy w pozycji zasadniczej z wyprostowanemi w kolanach nogami, pochylamy się wprzód i opuszczamy ramiona, aby dotknęły ziemi. Po 10-krotnem przećwiczeniu, próbujemy nachylić się jeszcze więcej, aby dojść przy dużej wprawie do możliwości dotknięcia czołem kolan, nachylając głowę ku nim poprzez ramiona. Dla odpoczynku należy się położyć na plecach i głęboko wciągać powietrze przez nos, wydechując je ustami.

Vera.

1 Ćwiczenia mięśni i kręgów krzyżowych, zakreślonych kołem.

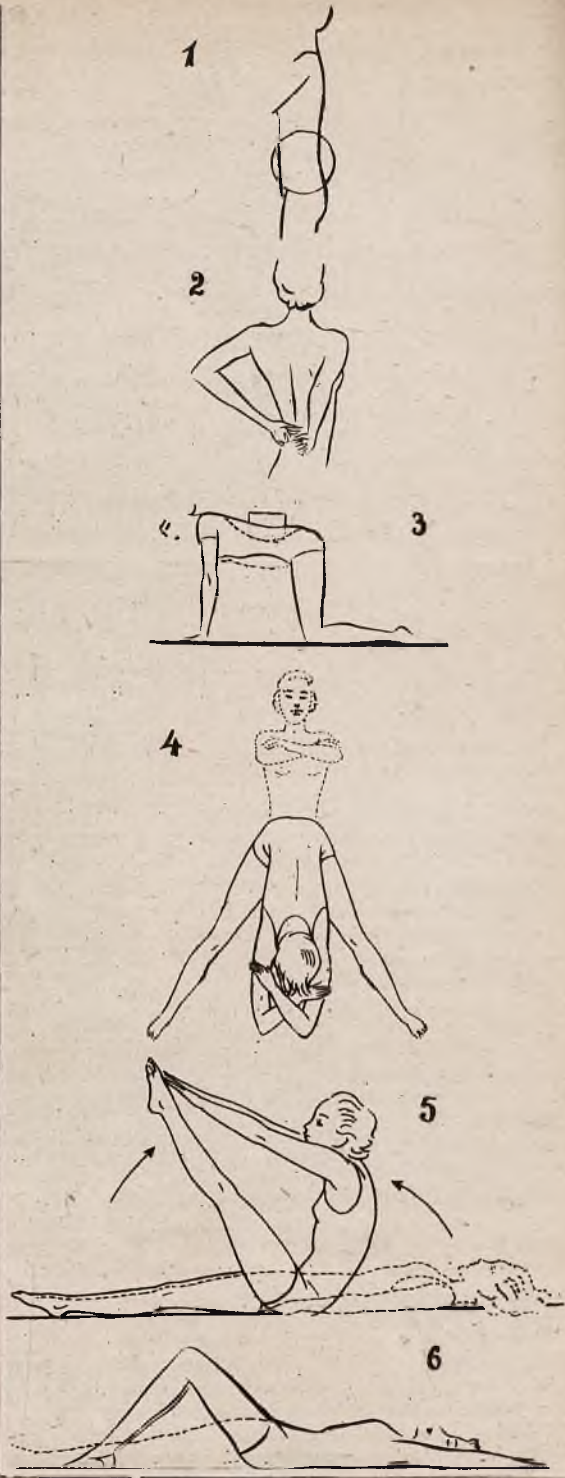
2 Masaż skóry na krzyżach.

3 Wyginanie i odprężanie kręgosłupa.

4 Skłon w przód z szerokiego rozkroku.

5 Ćwiczenia z pozycji leżącej polegające na wznoszeniu nóg.

6 Zginanie i wyprostowywanie nóg z pozycji leżącej z krzyżem przylegającym do podłogi.







Od lewej: Oto ważne pozycje w gimnastyce mającej za zadanie uelastycznienie pleców — skłon w tył, zgięcie kolan i nachylenie się tyłem w lewo i prawo, oraz (na drugiem zdjęciu) skłon w przód przy wyprostowanych kolanach i opuszczonych ku podłodze ramionach.

W jakich butach przemierzał człowiek świat

Wiek XX, wiek szalonych przemian w formach życia jednostek i narodów — zastał człowieka... w bardzo niewygodnem obuwiu. Nagniotki na palcach nóg, męczące mnóstwo osób, to najwymowniejsze świadectwo ciasnego obuwia, w którem wszedł nowoczesny człowiek w życie.

Nic dziwnego, że powojenne lata zażądały rewizji pojęć także i w stosunku do obuwia, zarówno u mężczyzn, jak i kobiet. Mocne słowa padły z ust powag lekarskich, z katedr uniwersyteckich, z rezolucyj zjazdów naukowych. Wśród wielu innych wojen, jakie pozostaną w historji wieku XX-go, znajdzie się kiedyś i wojna, jaką stoczono z przesądami mody.

I wydawało się, że zwycięstwo odniesione na całej linji przetrwa lata i pokolenia. Tymczasem zaledwie nacieszył się człowiek jego błogosławionymi skutkami, jak wystąpiły oznaki, z których snuć można wróżby jak najmniej pożądane, dla nie mogących się obejść bez obuwia, nóg

Stało się! Kobieta dała się skusić obietnicom czegoś piękniejszego od noszonych trzewików i sympatyzuje w pewnej chwili z karykaturalnie wyglądającymi bucikami ostatnich lat o grubych, wysokich podeszwach drewnianych, łączących się bezpośrednio z obcasem kapryśną aerodynamiczną linją, lub przedłużanych pod podbiciem nogi aż po wysoki obcas, tworząc jednolitą podstawę pod całym normalnym bucikiem.

Dlaczego zwycięstwo takiego koturnowego bucika przychodzi całkiem łatwo? Gdy zadamy sobie to pytanie, odpowiedzieć musimy tylko jednym argumentem. Każda nowość, podyktowana przez wielkie magazyny mód, przyjmie się szybko, bo tempo życia przesuwając przed oczyma kobiet coraz inne nowości, przyzwyczaja je do przyjmowania wszelkich nowości.

Czy noga na koturnie jest nowością? De facto wielką nowością nie jest, gdyż pamiętamy teatr grecki z jego aktorami, „podwyższonymi" dostojnie przez owe koturny. Ale też w teatrze greckim grywali tylko mężczyźni, a zatem koturny byłyby dziś dla kobiet nowością. Wprawdzie ludowy strój holenderski i bretoński posiada też coś w tym rodzaju, saboty, na grubych drewnianych podeszwach, ale droga, którą przychodzą dziś koturnowe pantofelki, wiedzie jednak wprost ze świata antycznego. Nie zapominajmy jednak, że sandały Rzymianek były też koturnami w swoim rodzaju.

Znały koturny ludy starożytne, od których wywodzi się historja europejskiego trzewika. Na wazach etruskich widzimy koturny, pokrewne greckim i rzymskim. Wiemy dzisiaj, że było to obuwie ludzi najbogatszych, którzy mogli sobie pozwolić na piękne obuwie i obicie go delikatnemi skórkami w kolorze purpury lub złota.

Nowoczesne koturny posłużyły najpierw jako obuwie plażowe, gdzie spełniły wybitnie korzystnie swą rolę, podwyższając stopę powyżej poziomu nadbrzeżnego piasku, który nie miał dostępu do bosej nóżki pięknej pani. Ale rola koturnów nie skończyła się na sandałkach plażowych. Obecnie zdobywają one coraz większy zasięg, czyto jako obuwie na ulicę, czy też nawet jako pantofelki balowe. I tutaj dopiero zabłysną one całym przepychem wschodniej bajki, czemu posłużą różnobarwne skóry, metalowe nabijania i sprzączki z kamieniami.

Dotychczasowy pantofelek balowy, szczycący się często jak największą prostotą, poza wysokim francuskim obcasem, będzie co najmniej zawstydzony w zestawieniu z intruzem, powołującym się na tak dalekie koligacje i tak odległe podobieństwa. Ten intruz ma formy zapożyczone wprost z klasycznego antyku a wykończenie w szczegółach przywodzi najpiękniejsze cacka, jakiemi na przestrzeni wieków bywały pantofelki pięknych kobiet. Ale gdy tamte, oglądane dziś przez nas w witrynach muzealnych, budzą już tylko uśmiech politowania, to nowe obuwie ma nowoczesny luksusowy wygląd i artystyczne wykończenie szczegółów.

Delikatne pastelowe odcienie kolorów skórki łączy się śmiało ze sobą. Wysokie podeszwy dają duże płaszczyzny do obłożenia skórką, zestawianą ładnemi linjami, powtarzających się ornamentów. Skórzane rzemyki grają kolorami na bosej nóżce, kontrastując z karnacją ciała i lakierem paznokci. Złota i srebrna skórka zyskała znów wielkie zastosowanie.

Męskie trzewiki jeszcze ocalały z tego pogromu, ale czy na długo?

Przecież od sandałów, ciżem, trepek i skórzni, dzieli je przepaść wieków, w ciągu których ulegały najrozmaitszym przeobrażeniom. Wieki średnie są dowodem, że nietylko kobiety lubują się w zmiennych formach obuwia. Ileż odmian obuwia wytworzyło życie rycerstwa, ile powstało po dworach królewskich! Jaka przepaść dzieli gotyckie wydłużone „nosy" od płytkich skórzanych trzewików XVI wieku, szerokich w palcach, krótkich, wykonywanych pół na pół z dwóch kolorów skóry czy materjału.

Trzeba było ingerencji Filipa IV, aby hamować długość obuwia. Wydany zakaz określał, że szlachta może nosić buty 2-stopowej długości (około 60 cm), mieszczaństwo 1-stopowej a lud i pospólstwo o 6 cali (15 cm) dłuższe od normalnej wielkości.

A potem przyszły rokokowe lakierki, uciskające stopę, by się wydawała jak najzgrabniejszą. A czy wygodne były balowe lakierki przedwojenne?

Zmiany na lepsze sprowokował sport: narty, łyżwy, tenis, konna jazda, wymagają bezwzględnej swobody stóp. I tej swobody, warunkującej zdrowie nogi, nie powinniśmy się wyrzec pod żadnym warunkiem. J. Z.



Najnowsze modele bucików sportowych.
Fot. d'Ora — Paryż.



Pantofelek balowy ze złoconej skórki o niezwykle oryginalnym fasonie.
Fot. d'Ora — Paryż.

Na prawo: Modelka demonstrująca na londyńskiej wystawie obuwia różne rodzaje damskich pantofelków.



Sztuka obdarowywania

Jednym z najstarszych zwyczajów towarzyskich, znanych już w najdawniejszych kulturach — jest zwyczaj obdarowywania swych bliźnich w pewnych ustalonych okazjach, lub poprostu w celu okazania im swej życzliwości lub podziwu. Sposób i ceremonjał obdarowywania ulegał przytem rozmaitym ewolucjom, zanim doszedł do dzisiejszego uproszczenia.

Z anegdot historycznych wiemy o zwyczaju ofiarowywania swym gościom kosztownej zastawy po ucztach, z wschodnich legend i podań pamiętamy, że gościnność dobrze pojęta nakazywała nawet czynić podarek gościowi z najpiękniejszej z swych żon, lub niewolnic.

Pamiętamy o wielkopańskim geście Ossolińskiego, który wjeżdżając jako poseł królewski do Rzymu, gubił rozmyślnie na ulicach złote podkowy, któremi rumak jego był podkuty.

Te szumne i bogate, dawne dobre czasy minęły bezpowrotnie. Dziś nawet najcenniejszemu gościowi nie ofiarowuje się swej żony, lub choćby złotego talerza, patrzy się natomiast z kwaśną, choć



1. **Elegancki garnitur: torebka, szal i modny parasol.**
2. **Dwa rodzaje pantofli — z białej skóry reniferowej.**
3. **Koperta do podróży — z wzorzystego chintzu na bieliznę.**
4. **Garnitur toaletowy — z czarnej emalji oprawnej w srebro.**
5. **Pudełko obciągnięte skórą wężową do przechowywania biżuterji.**

5


1


2


3


4




uprzejmie osłodzoną miną, gdy gość ten wyleje czerwone wino na nowy obrus, lub przez nieuwagę stłucze filiżankę. Zrobiliśmy się znacznie skąpsi, a gesty nasze straciły na fantazji i wielkoduszności. Nie rozdajemy drogocennych klejnotów, bo nasze własne często „zimują“ w zastawie, nie ofiarowujemy nikomu „konia z rzędem“, gdyż z marnych 40 czy 60 HP., ciągnących naszą limuzynę, nie można tak łatwo poszczególnych koni wyprzęgać. Podarki nasze, choć straciły na materjalnej wartości, stały się jednak różnorodniejsze i bardziej wyrafinowane.

Ten odwieczny przejaw socjologiczny, jakim jest zwyczaj obdarowywania się wśród ludzi żyjących w społeczności, ma — jak każda zresztą sprawa — dwie strony medalu. Przyjemnie jest w dniu imienin przyjmować kwiaty, cukierki, podarki — miło jest rozwijać misternie zapakowane paczki, w których kryje się niespodzianka. Ale i ta czynność ma już swe ciemne strony, jak np. ustawiczne szukanie drobnych dla posłańców, lub dziękowanie z wylaniem starej, znanej ze skąpstwa bogatej ciotce za włóczkowy szalik w znienawidzonym przez nas kolorze „bordo“ („sama ci go zrobiłam, duszko!!!“). Miło jest otrzymywać ładne drobiazgi lub kwiaty na nowe mieszkanie, ale przeciąga się nam mina, gdy trzy nasze przyjaciółki jak na złość przeprowadzają się w jednym miesiącu, i to w listopadzie, kiedy akurat trzeba płacić węgiel na zimę i rachunek u kuśnierza za reperację „wyprawnego“ jeszcze futra.

Albo, bądźmy szczerzy, czy kto z nas lubi prawdziwie maj, ten sentymentalny miesiąc, opiewany przez słowiki i poetów? — W Polsce niewielu jest chyba zwolenników tego miesiąca, jakoże co drugi znajomy nazywa się Stanisław lub Jan, a co trzecia kuzynka ma na imię Zofja, Janina lub Helena, i wszyscy właśnie w maju obchodzą imieniny. Któraż zaś Zofja nie zgrzytała zębami, gdy za kwiaty, które otrzymała w maju, kiedy kosztują grosze, trzeba było rewanżować się przyjaciółkom, obchodzącym imieniny w grudniu czy w lutym, gdy jedna róża kosztuje 3 zł.!

Ale odłóżmy te goryczą zaprawione uwagi. Jednogłośnie przyznajemy, że zwyczaj robienia podarków jest miły i pełen uroku, i wszyscy pamiętamy z dzieciństwa, jakie chwile podniecenia i radości przeżywaliśmy na gwiazdkę, odkrywając pod drzewkiem, przez hojnego „aniołka“ złożone podarki.

Umieć robić prezenty, to osobna sztuka dobrego smaku, a przedewszystkiem szczerej intencji zrobienia komuś przyjemności. Wielu załatwia kwestję podarku bezmyślnie i od niechcenia, byle uczynić zadość obowiązkowi towarzyskiemu czy rodzinnemu, uważanemu zresztą za istną „piłę“. Inni, ożywieni najlepszemi nawet chęciami, nie mają dostatecznej pomysłowości, jeszcze innym brak środków materjalnych, aby swe pomysły móc zrealizować.

W wyborze podarków powinniśmy starać kierować się zamiłowaniami, wiekiem, trybem życia i warunkami tego, kogo chcemy obdarować. Nie ofiarowuje się papierośnicy komuś, kto od roku przestał palić, gdyż prezent taki boleśnie zakrwawi mu serce. bie, której anglistyczne umiejętności nie wyszły poza „how do you do“, ani kokiete- Nie daje się tomiku angielskich wierszy osoryjnego puszku do pudru 70-letniej babci. Wujowi obdarzonemu szóstym krzyżykiem i podagrą nie ofiarowujmy rakiety. Unikajmy również obdarowywania naszych bliźnich bezużytecznemi gracikami, z któremi nie wiadomo co robić i starajmy się „nie kupować drugiemu, co nam samym nie miło“.

Dokończenie na str. 31-ej.



1. Oto akcesorja stroju męskiego, które ofiarować można tylko bliskiemu przyjacielowi.

2. Oryginalne pudełko na papierosy z białego metalu, z wieczkiem obciągniętem pergaminem.

3. Wszystko, co dotyczy stroju narciarskiego, staje się teraz właśnie aktualnym prezentem.

4. Dla kogoś, kto dużo podróżuje, piękny pled angielski będzie napewno miłym upominkiem.









PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA MIGDAŁOWA (do wieczerzy wigilijnej). 10 dkg migdałów rzuca się na wrzącą wodę i pozostawia w niej pod przykryciem tak długo, aż skórkę z migdałów można ściągnąć. Obłupane migdały miele się, następnie uciera w misce na jednolitą masę, dodając mleka po trosze. Litrem ciepłego mleka rozprowadza się masę migdałową, poczem zagotowuje się zupę z kawałkiem wanilji lub cynamonu. Osobno uciera się 2 żółtka i 5 dkg cukru i łyżeczkę mąki i podprawia się tem gotującą się zupę, ubijając na ogniu aż się spieni. Dodatek do zupy stanowi ryż, ugotowany na sypko, zmieszany z garstką rodzynek.

SUFLET ŚLEDZIOWY. 4 duże śledzie mleczaki, dokładnie wymyte z soli i łusek, moczy się w wodzie z mlekiem przez 24 godziny, poczem oczyszcza się je z skórki i ości i przepuszcza przez młynek wraz z rozmoczoną w mleku bułeczką. Mleczka przeciera się przez sitko i uciera z 2-ma żółtkami i łyżką masła oraz 2 łyżkami parmezanu, łyżeczką tartej cebulki, szczyptą pieprzu i łyżką gęstej kwaśnej śmietany. Wkońcu dodaje się pianę z 2 białek i łyżkę tartej bułki. Masę umieszcza się kopiato na ogniotrwałym półmisku, posmarowanym masłem, posypuje tartą bułką z parmezanem i zapieka w gorącym piecyku przez 10—15 minut. Do sufletu podaje się fritki ziemniaczane lub ziemniaczki w mundurkach, albo też opiekanki z bułki.

KARP NA SZARO. Oczyszczoną z łuski rybę obmywa się dokładnie, następnie przekrawa nad miską, odrzuca z wnętrzności jelito, a krew chwyta na miskę, pomagając sobie paru łyżkami octu, którym się rybę wewnątrz wymywa. Ocet służy też do zapobiegania krzepnieniu krwi. Do rondla nigdzie nie obitego (żelazo zmienia smak ryby) nalewa się trzy szklanki wody i szklankę ciemnego piwa, ocet z krwią rybią, dodaje korzeni i włoszczyzny z kawałkiem cebuli, wkłada rybę w całości lub pokrajaną w dzwonka i nastawia do gotowania, uważając, aby ryba gotowała się bardzo powoli na kraju blachy. Czas gotowania zależny jest oczywiście od wielkości, tj. grubości ryby. Karp trzyfuntowy do 2 kg (te są najlepsze) ugotowany będzie po godzinie. Miarą, kiedy ryba gotowa, jest próba wyjęcia pletwy, jeśli pletwa łatwo się od mięsa odrywa, można wyjąć rybę z rosołu. Do pozostałego smaku dodaje się 10 dkg kuchennego piernika, który się rozgotowuje, poczem się sos przeciera i do przetartego sosu dodaje się garstkę bezpestkowych rodzynek, 3 dkg parzonych migdałów, krajanych w cienkie paseczki, troszkę drobno krajanej skórki cytrynowej i dorabia się smak cukrem i sokiem cytrynowym. Sos powinien być zawiesisty. Rybę układa się na głębszym półmisku i oblewa gorącym sosem. Resztę sosu podaje się w sosjerce. Osobno jako dodatek: kluseczki francuskie lub knedel bułkowy, tz. serwetowy, pokrajany w plastry, wreszcie makaron domowy lub włoski.

SOS DO RYB. Do ryby gotowanej lub pieczonej nadaje sos majonezowy lub gotowany, tzw. holenderski. Ten ostatni sporządza się w ten sposób: 5 żółtek uciera się z 5 dkg masła deserowego, wciska sok z połówki cytryny, dodaje troszkę białego pieprzu, szczyptę soli, cukru i gałki muszkatułowej, dolewa pół szklanki wina i tyleż rosołu, poczem wstawia się naczynie w gorącą wodę i ubija sos na ogniu, aż zgęstnieje i zbieleje, nie dopuszczając jednak do zagotowania. Sos ten podaje się na gorąco.

ZIMNY SOS MAJONEZOWY utrzeć można z surowych lub ugotowanych żółtek z dolewaną kroplami oliwą, licząc po 4 łyżki oliwy na jedno żółtko. Utarty, gęsty majonez rozprowadza się sokiem cytrynowym, doprawia solą, odrobiną cukru i pieprzu białego. Dodawszy do tego sosu łyżkę francuskiej musztardy, kilka drobno posiekanych korniszonów, pikli i grzybków, otrzymujemy powszechnie lubiany sos tatarski. Sos ten powiniem być ostry, dlatego zaprawić go należy winnym octem w miejsce soku cytrynowego.

SAŁATKĘ MAJONEZOWĄ otrzymamy, dodając do powyżej podanego sosu, różne krajane drobno, gotowane jarzyny, nie zapominając o selerze, który w tej sałatce gra większą rolę przez swój specjalny aromat. Sałatkę dobrze wymieszaną, ułożoną na salatarce, ozdabia się po wierzchu zielonym groszkiem, pomidorami, twardem jajem i marynowanymi grzybkami.

MASA MAKOWA DO ŁAMAŃCÓW I STRUCLI. 25 dkg niebieskiego maku wysiewa się na gęstym sicie, następnie płucze w kilku wodach, poczem się go parzy wrzącą wodą i osącza na sicie. Zmielony w specjalnym młynku mak uciera się na misce, dodając potrosze 25 dkg cukru i 6 dkg masła; należycie utarty mak smaży się z dodatkiem szklanki gorącej kremowej śmietanki, wygotowanej z laseczką wanilji i szczyptą soli. Przestudzony mak miesza się z 1—2 białek, siekanymi migdałami, skórką pomarańczową oraz rodzynkami w dowolnej ilości.

Sc. Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Kiedy zaczęło być ciasno w miastach, poczęto budować drapacze chmur: podobna ciasnota daje się odczuć w kuchni, lub też w kredensach, stojących w jadalnym pokoju. Gdy zastawa stołowa staje się coraz liczniejsza, kredens czy szafa pozostaje taka sama. Trzeba więc zaradzić tej ciasnocie: nasza ilustracja pokazuje nam „aparat", w którym możemy stawiać jedną filiżankę na drugiej nie narażając je na potłuczenie. Jedną filiżankę od drugiej odgradzamy serwetką papierową.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 52 **Grudzień** 31 dni



NIEDZIELA **18** Gracjana	Czernina z kluseczkami. Paszteciki z kiełbasą. Kuropatwy z brusznicami. Strudel z makiem. <u>Kolacja</u>: Szynka z sosem tatarskim.
PONIEDZ. **19** Nemezjusza	Rosół z jarzynkami. Sztuka mięsa zapiekana z chrzanem. Ozór peklowany z purée grochowem. Kompot mieszany. <u>Kolacja</u>: Strudel z kaszą tatarczaną.
WTOREK **20** Teofila	Barszcz z uszkami. Kardy i brukselka z masłem. Rozbef z sałatką z czerwonej kapusty i fasolki. Budyń czekoladowy. <u>Kolacja</u>: Parówki w sosie pomidorowym.
ŚRODA **21** Tomasza ap.	Zupa pieczarkowa. Faszerowana włoska kapusta. Kotlety cielęce smażone z ziemniaczkami. Strudel z serem. <u>Kolacja</u>: Śledzie marynowane.
CZWARTEK **22** Zenona	Zupa wątrobiana. Salsefia z masłem. Zrazy siekane z kaszą krakowską na grzybach. Knedelki drożdżowe gotowane. <u>Kolacja</u>: Bigos.
PIĄTEK **23** Wiktorii	Barszcz żytni z twardem jajem. Marchewka z grzankami. Dorsz w sosie sardelowym. Ryżowy budyń. <u>Kolacja</u>: Bukiet jarzynowy.
SOBOTA **24** d. i Ew. † Wig.	<u>Obiad wigilijna</u>: Zupa migdałowa lub barszcz z uszkami. Karp na szaro z knedlem bułkowym. Ryba na niebiesko z sosem holenderskim. Łamańce z makiem. Kompot mieszany. Torty, ciasta i owoce.

Przepisy świąteczne.

PASZTECIKI POSTNE Z SUCHYCH GRZYBÓW. Licząc na dwie osoby 3 dkg suchych grzybów, gotuje się odpowiednią ilość, namoczonych na noc grzybów w tej samej wodzie, w której mokły. Zupełnie miękkie grzyby przemiela się w młynku wraz z gotowanemi wątróbkami ryb przeznaczonych na stół wigilijny, oraz małą suchą bułkę. Pół małej cebulki trze się na tarle i smaży na łyżce masła, dodaje zmieloną masę grzybkową, troszkę soli i pieprzu i smaży ją przez zkilka minut, dolewając parę łyżek kwaśnej śmietany i troszkę smaku z pod grzybów. Do przestudzonej masy dodaje się dwa dobrze rozklucone jaja, miesza z niemi dokładnie, nakłada masę w muszelki, posypuje smażoną bułeczką, kropi masłem i zapieka w gorącym piecyku przez 5 minut.

SAŁATKA Z RYB. Z pozostałych ze stołu wigilijnego ryb można sporządzić doskonałą sałatkę. Nadaje się do tej sałatki każda ryba w jakikolwiek sposób przyprawiona. Wszystkie resztki ryb obiera się czysto z ości, rozdrabia dwoma srebrnemi widelcami, gdyż od innego metalu ryba smak traci. Do ryb dodaje sie kilka gotowanych ziemniaczków sałatowych tz. rogalków, kilka korniszonów i rydzów marynowaonych, wszystko pokrajane w plasterki, kilka jaj na twardo w kostkę skrajanych i parę łyżek zielonego groszku — oczywiście z puszki lub Wecka. Wszystko soli się, troszkę pieprzy i miesza z sosem majonezowym, utartym z 2 surowych żółtek i 5 dkg oliwy, dolewanej kroplami. Do utartego majonezu dodaje się sok z całej cytryny, łyżeczkę (płaską) cukru i łyżeczkę francuskiej musztardy. Chcąc sałatkę podać wystawnie, formuje się z niej kształt ryry i przybiera półmisek anszpikiem, zieloną sałatą i jajami twardemi.

DOSKONAŁY MIODOWNIK. 25 dkg miodu i 12 dkg cukru, zagotowuje się ,mieszając. Do przestudzonego miodu dodaje się 2 jaja, łyżeczkę różnych korzeni miałko utłuczonych, 20 dkg ciemnej pszennej lub żytniej mąki, oraz łyżeczkę potażu rozpuszczonego w kieliszku rumu. Dosyć płynną masę wlewa się do natartej masłem formy (najlepiej nadaje się do tego gruby rondel) i posypuje po wierzchu tłuczonemi orzechami i krajaną skórką pomarańczową. Dodatki te opadają w trakcie pieczenia do środka ciasta. Chcąc miodownik ten upiec z nadzianką, miesza się parę łyżek smażonej róży dobrze osączonej lub smażonej, konfitury z pomarańcz z orzechami, wlewa większą część ciasta do formy, kładzie nadziankę i przykrywa resztę ciasta. Piec należy przez godzinę, stopniując ostrożnie ciepłotę.

TORT DAKTYLOWY. 25 dkg daktyli, 25 dkg nieparzonych migdałów, 10 dkg cytronatu, wszystko drobno posiekane, miesza się z pianą, ubitą z 10 białek, do której to piany w trakcie ubijania dosypuje się 20 dkg cukru. Dodawszy 2 łyżki tartej bułki lub tartych biszkoptów. wlewa się masę do natartej masłem tortownicy i piecze przez 40 minut. Upieczony wystudzony tort oblewa się lukrem czekoladowym lub pomadkowym z makiem cytrynowym i wstawia na chwilkę do gorącego piecyka, aby polewa nabrała połysku. To ostatnie stosuje się tylko przy lukrze pomadkowym.

POLEWA CZEKOLADOWA. Z 8 dkg cukru i 4 łyżek wody gotuje się gęsty syrop. Na miseczce rozmiękcza się w cieple 10 dkg czekolady i uciera z dolewanym po troszce gorącym syropem cukrowym. Wkońcu dodaje się łyżeczkę masła deserowego, a gdy to się rozpuści w polewie, wylewa się ją szybko i równomiernie na tort, nie dotykając ani obrównując nożem. W ten sposób polewa będzie gładka z połyskiem. Wierzch tortu ozdabia się dookoła połówkami orzechów.

RULADA ŁOSOSIOWA. Gotowanego łososia (z puszki) miele się dwa razy, dodaje 2 łyżki tartego parmezanu, 1 całe jajo i 1 żółtko oraz trzy łyżki tartej bułki. Z masy tej formuje się dość gruby wałek, który się zawija w serwetę, wkłada na wrącą osoloną wodę i gotuje przez 15 minut. Po ostudzeniu wyjmuje się ruladę z serwety, kraje w płatki, pokrywa majonezem i posypuje siekanemi kaparami.

Tę samą ruladę sporządzić można skromniej z każdej gotowanej ryby, z tą odmianą, że należy żółtka utrzeć z sporą łyżką masła, potem dodawać po troszce wszystkie inne dodatki, jak wyżej podano, na samym końcu pianę z białka i tartą bułkę.

Sc. Ko.

HOCKI-KLOCKI

PRZYKRY ZAWÓD.



— Z początku zdawało mi się, że będę dobrze czuła w biurze, ale teraz okazało się, że mój szef naprawdę zwraca uwagę jedynie na dyktowanie mi listów...

(„Esquire")

Dokończenie ze str. 29-ej.

Wybór prezentu świadczy nie tylko o naszym stanie majątkowym i hojności, lecz przedewszystkiem o naszej kulturze, dobrym smaku i delikatności uczuć. Drobiazg, umiejętnie wybrany i ładnie podany, może większą zrobić przyjemność od kosztownego prezentu, którego jedyną zaletą jest wysoka cena. A jakiż ogromny jest wybór wśród takich drobiazgów! Nie potrzeba się ograniczać do stereotypowego wazonika na kwiaty dla pani, a krawatu dla pana, bez trudu można znaleźć coś oryginalniejszego. Dla ułatwienia podajemy naszym czytelnikom cały szereg pomysłów w naszych ilustracjach.

Mówiąc o kulturze podarków, trudno nie wspomnieć o roli, jaką w tej dziedzinie może i powinna spełniać książka. W kulturalnych krajach Zachodu stanowi ona ogromny procent podarków wśród ludzi inteligentnych. Nadaje się na prezent doskonale, tembardziej, że można jej wybór dostosować do każdego wieku i do najróżnorodniejszych zamiłowań, a przedewszystkiem do każdej kieszeni. Książka może być najtańszym i najdroższym prezentem: od skromnego tomiku poezji aż do bezcennych białych kruków bibljofilskich, skala jest ogromna. — Nie zdajemy sobie srawy, jakim elementem dekoracyjnym są przytem książki w nowoczesnem wnętrzu. Nauczmy się więc kupować książki naszym przyjaciołom, zamiast cukierków lub bezwartościowych fatałaszków!

Sposób ofiarowywania podarków i ich wybór, to również kwestja dobrego wychowania. Tu także rządzi pewien kodeks towarzyski, pewien „savoir-vivre", którego nie można lekceważyć. Kodeks ten nie pozwala np. ofiarowywać znajomej kobiecie prezentów zbyt „intymnych" z dziedziny stroju. — W złym guście jest również ofiarowywanie zbyt kosztownych podarków ludziom, którzy nie mogą się nam odpowiednio zrewanżować, chyba że są to bardzo bliscy krewni lub przyjaciele. Nie daje się też w. podarku rzeczy używanych, noszonych, nieświeżych, albo przedmiotów czysto praktycznych, użytkowych. Rzecz przeznaczona na prezent musi być w najlepszym stanie i w najlepszym gatunku. Lepiej ograniczyć się do drobiazgu, niż dawać rzecz pretensjonalną, a lichą i tandetną. Przytem należy zwrócić uwagę na estetyczny sposób opakowania i podania. Nie ofiarowuje się np. cukierków, choćby najlepszych, w zwykłej papierowej torbie, nie posyła się wazonika na kwiaty pustego, bez kwiatów, ani też pustej bomboniery, nawet najkosztowniejszej.

Prezent nie powinien być zdawkową towarzyską monetą, lecz prawdziwym darem, objawem pamięci i serca. Wartość jego, to nie tylko cena, którą zań zapłaciliśmy, ale serdeczna i subtelna myśl, która kierowała jego wyborem, uczucie którego ma być wyrazem i symbolem. **Lady Like.**

Rozwiązania z Nru 50-go.

POWRÓT TATY.

Na podstawie wyprowadzonej nierówności można obliczyć, że Władek był najstarszym z rodzeństwa.

SKOMPLIKOWANY WYŚCIG.

Wytłumaczenie jest niezmiernie proste! Od dwunastego słupa kilometrowego do szóstego jest 6 km, ale od szóstego do pierwszego jest tylko 5 km.

ZIELONE SUKIENKI.

11 czerwca zieloną sukienkę włożyła Bella.

STOP METALI.

Stop ważył 174 kg 468 gr, a sama miedź ważyła 10 kg 468 gr.

BRACIA I SIOSTRY.

Nasz miłośnik rozrywek miał trzy siostry i trzech braci

JEDENASTY DZIEŃ.

Niedziela.

ROZWIĄZANIE ZADANIA SZACHOWEGO.

1) H a—6—b7. Jeśli H bije H, wówczas Se8—d6 mat, jeśli H bije G e8, H—h7 mat itp.

O tak! – to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

WARSZAWA. Teatr Ateneum — pod dyrekcją Jaracza — wystawił komedję młodego autora francuskiego Roger Ferdinanda pt. **„Kupiec i poeta"**. w przekładzie Gabrjela Karskiego. Sprawnie wyreżyserowała tę sztukę p. St. Perzanowska. Wśród wykonawców trzeba wymienić przedewszystkiem pełną wdzięku Ewę Bonacką, wybornego Chmielewskiego, świetnego Maszyńskiego — w rolach głównych. Dekoracje projektował p. Wł. Daszewski.

LWÓW. W Teatrze Wielkim ujrzeliśmy schillerowską **„Intrygę i miłość"** w przekładzie Juljana Tuwima. Inscenizatorem widowiska był dyr. Szpakiewicz. Stylową oprawę dekoracyjną opracował p. Mieczysław Różański. Rolę Ferdynanda odtworzył p. Staszewski, Luizą była p. Ankwicz-Szyjkowska. Mieczysław Węgrzyn stworzył kapitalną sylwetkę jako szambelan von Kalb. Dobry był też p. Madaliński jako Wurm. Znakomitą lady Milford była p. Suchecka. Trzeba poza tem wymienić pp. Machalskiego (Miller) i Kwiatkowiczową (żona Millera). **J.**

NOWE KSIĄŻKI

Marja Kuncewiczowa: „Miasto Heroda". „Rój", Warszawa. Obecnie, gdy się tyle mówi o P a l e s t y n i e, o kwestji żydowskiej, gdy codziennie prawie depesze przynoszą nam wiadomości o nowych, krwawych zajściach w tym kraju, które wyrywają z kręgu żywych zarówno Żydów, jak Arabów i Anglików — książka Marji Kuncewiczowej o Palestynie nosi cechy wszelkiej aktualności. Po głębokiej książce Ksawerego Pruszyńskiego, jest to druga w naszej literaturze poważna rzecz o dzisiejszej Palestynie. Znakomita autorka „Cudzoziemki" i jakże popularna twórczyni „Państwa Kowalskich", zwiedzała Palestynę niedawno, jak się zdaje żaledwo przed kilku miesiącami i w swej obecnie wydanej książce zestawiła wszystko, co widziała w ciągu swojej podróży, głównie w Tel-Aviwie i w Jerozolimie. Skromnie mianuje Kuncewiczowa swą ostatnią książkę jedynie „notatkami palestyńskiemi". „Miasto Heroda" jednak, to nie są notatki — jest to w różnych fragmentach stopiona całość, odzwierciedlająca duszę tego kraju, jest to znakomita i wnikliwa charakterystyka ludzi, którzy go zamieszkują, jest subtelne oddanie ich nastrojów, ich nieraz tęsknot za pierwszą ojczyzną — Polską. Ale przedewszystkiem uderza w tej niecodziennej książce gorący prąd, który przemyka po wszystkich kartach, nurt żarliwości, atmosfera wzięta przez świetny talent polskiej pisarki z opisywanej ziemi — atmosfera, którą stwarza dla ziemię tę kochających ludzi wyraz „Ojczyzna" — najpiękniejszy we wszystkich językach świata, a więc także i w brzmieniu „Erec"... Książka wydana jest bardzo starannie. **W. Z.**

„Strumień ognisty" Francois Mauriac. Tow. wyd. „Rój". Podobnie, jak inne dzieła Mauriaca, — „Kłębowisko żmij", „Teresa Desqueyroux" itd., tak też i ostatnia jego powieść osnuta jest na tle niezwykle finezyjnych, trudno uchwytnych i nieraz bardzo trudnych do wyrażenia stanach duszy i psychologicznych przemianach człowieka. Młody Paryżanin Daniel Tarsis „zawodowy" donżuan, stara się uwieść młodą dziewczynę p. de Plailly, spotkaną przypadkiem na letnisku. Zazdrość budząca się w nim, rozważania na temat przeszłości swej ofiary i wiele innych momentów psychologicznych odsłaniają w sposób mistrzowski zakamarki duszy ludzkiej, w tym wypadku duszy chorej, jeżeli nie spaczonej. Na swej drodze ku zdobyciu p. de Plailly młody człowiek spotyka jednak przeszkodę w postaci p. de Villeron, opiekunki młodej dziewczyny, która, kierowana ascetyczną wiarą, stara się ochronić ją przed dostaniem się w sidła na nią zastawione. Najciekawszą postacią powieści jest zapewne sama ofiara: będąc pod moralną kuratelą swej opiekunki, pozbawiona swobodnego decydowania o swym losie, wiedzie ona dziwny żywot na marginesie życia. Dwa momenty walczą w jej duszy: wpojona wiara i równocześnie chęć poznania życia, chęć przeżycia wielkiej miłości. Mauriac z właściwą sobie precyzją i psychologiczną wnikliwością traktuje te trzy główne postacie powieści, rozcinając najdrobniejsze nawet ich odruchy serca skalpelem świetnej obserwacji. Jak zwykle, tak i tym razem wprowadza on swych bohaterów w niezwykle skomplikowane, pełne psychologicznych niebezpieczeństw sytuacje, które pozwalają mu oświetlić ich charaktery w sposób ciekawy i oryginalny. Problem wiary przewija się przez perypetje postaci powieści, tworząc niejako tło ich przejść. Jest to książka pobudzająca nas do wielu refleksyj na tematy społeczne i etyczne. Tłumaczenie H. Hellerówny poprawne.

Alfred Döblin: „Podróż do krainy wiecznego życia". „Rój", Warszawa. W dobrym przekładzie Lucjana Szenwalda ukazała się wreszcie i u nas ta powieść, która zdobyła już sobie wielkie powodzenie zagranicą. Bo jest to istotnie powieść pasjonująca, świetnie napisana. Döblin opisuje w tej książce w kolorowej formie obfitej fabuły powieściowej dzieje podboju dorzeczy Amazonki przez białych, opisuje silnie i wyraziście te potworności, z któremi wdarli się biali ludzie na świętą ziemię Czerwonych. Mordy i pożogi, znęcanie się, wprost tępienie masowe nieszczęsnych czerwonoskórych — oto temat tej powieści. Chociaż i wśród białych ukazuje autor czasem lepsze typy czy lepsze porywy, jednak po przeczytaniu tej książki traci się do nich wszelki szacunek, a całe współczucie — o kilka wieków spóźnione! — ma czytelnik dla tubylców, którzy żyli sobie przedtem na swej własnej ziemi, jak w raju, naiwni, szczęśliwi, spokojni, pełni dobroci i szlachetności. Piękna to jest powieść — i, o dziwo! — aktualna... W dzisiejszej bowiem dobie jakże bardzo odżyło w różnych szerokościach geograficznych to wszystko, co niosły blade twarze czerwonoskórym, a co nas dzisiaj — gdy przeszły stulecia — napawa grozą, obrzydzeniem i smutkiem. Powieść przełożona jest z języka niemieckiego. **W. Z.**

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 18 grudnia.

11.45 Muzyka w okresie Świąt Bożego Narodzenia — feljeton, wygłosi E. Rudnicki.
12.03 Poranek symfoniczny z Łodzi.
16.30 Arje i pieśni operowe — koncert wokalny.
17.00 „Małżeństwo doskonałe" — premjera słuchowiska.
17.30 Podwieczorek przy mikrofonie.
21.20 „Kraina uśmiechu" — operetka Lehara.

Poniedziałek, 19 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa z Katowic.
16.35 Recital fortepianowy Ilsy Rodzińskiej.
18.30 Pills i Tabet w piosenkach solowych i zespołowych.
19.30 Koncert rozrywkowy z Łodzi.
22.00 „Dzieje symfonji" — audycja muzyczna.

Wtorek, 20 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa z Poznania.
17.00 Arje operowe w wykonaniu St. Drabika.
19.00 Koncert rozrywkowy.
21.00 Koncert Twa Krzewienia Muzyki Kameralnej.
22.05 „Śląsk dzisiejszy" — audycja słowno-muzyczna.

Środa, 21 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa z Wilna.
17.00 Pisarze współcześni o żołnierzu.
17.15 Koncert kameralny z Krakowa.
19.00 Koncert rozrywkowy z Poznania.
21.00 Opowieść o Chopinie „Marja Wodzińska".

Czwartek, 22 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa.
17.20 Utwory fortepianowe Pantcho Wladigerowa.
19.00 Koncert rozrywkowy.
21.30 Utwory chóralne kompozytorów polskich w wykonaniu Poznańskiego Chóru Katedralnego.
23.05 Koncert kameralny w wyk. Eug. Umińskiej — skrzypce i Zyg. Dygata — fortepian.

Piątek, 23 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa z Poznania.
16.35 Paul Dukas „Uczeń czarnoksiężnika" — Scherzo symf.
17.00 Opowieść o Bachu.
19.15 Kartki z Finlandji — koncert rozrywkowy.

Sobota, 24 grudnia.

Wigilja.

16.25 Wigilja na strażnicy KOP.
17.20 „Drzwi zamknięte", fragm. z powieści Rittnera.
18.30 Przemówienie wigilijne prymasa Polski ks. kard. dr A. Hlonda.
19.15 Transmisja z Konserwatorjum w Warszawie.
19.45 „Z opłatkiem u marynarzy", transm. z Gdyni.
21.35 Koncert wigilijny.
23.50 Boże Narodzenie na Zaolziu, feljeton.
24.00 Transm. Pasterki z Jabłonkowa na Zaolziu.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1